M. B.
im.
L. W.
w
Łodzi

W numerze: ZDZISŁAW STRZĘPEK Polska, rok 2000 • EWA NURCZYŃSKA Węgierski film krótki • ANDRZEJ HAMPEL Czymże jest Faust z okulawioną myślą? • Piosenki, festiwale, muzyka • Portrety dwóch mistrzów • Nowela kryminalna

odgłosu

5. VII. 1970 r.
27 (659)
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

Fot. Włodzimierz Parys

JAN BĄBIŃSKI

„STRZELCZYK" i MIKRONY

Wysoka ściana bloków mieszkalnych na Dąbrowie, tor kolejowy, zakręt, puste pole i wijąca się po nim drożyna, która zdawała się prowadzić do nikąd. Głuche pustkowie. Na domiar złego dął silny wiatr i rzucał takie tumany śniegu, że już miałem zawrócić. Na plac budowy w końcu jednak dotarłem. To ma być ten nowy już „Strzelczyk"? To mają być owe supernowoczesne zakłady z którymi wiąże się tyle nadziei? Nic na to nie wskazywało.

Byłem rozczarowany i zawiedziony.

W zupełnej „głuszy" stał pokraczny barak, obok, w śniegu i mrozie, dłubano przy fundamentach, na których miała się wesprzeć jedna z największych w tym mieście hal fabrycznych. Tak mnie zapewniano. Udostępniono mi szkice i rysunki, plansze i plany. Kręciłem głową. Czy naprawdę? Czy istotnie stanie tu hala przepastna jak średniowieczna katedra, z wieloma do tego nawami pod jednym gigantycznym dachem? Przez te lata tyle się wszak nauczyliśmy, że nowej budowy bez nowej drogi zaczynać nie wolno. A tu jakieś koleiny w grząskim gruncie i tyle.

Uwierzyłem za drugim razem. Był już czerwiec 1970 r. Miesiąc szarpaniny i mordęgi. Także spokojnej pewności siebie, że w lipcu „Strzelczyk" już drgnie, ruszy i otworzy przed miastem nowe horyzonty. Cóż to był za młyn. Jakie spiętrzenie robót. Czas wielki docisnąć inwestycyjny pedał do samej deski. Jak długo mamy się oglądać na zmurszałe zabudowania po Johnie? To już niemal muzeum pod gołym niebem pełne zabytkowych urządzeń z ubiegłego nawet wieku.

Johann John przybył do Łodzi z Austrii z pokaźnym portfelem, który mu wniosła żona w posagu. W 1866 r. uruchomił niewielką kuźnię, także miniaturową odlewnię. Zatrudniał 37 ślusarzy i kowali. Ale już wtedy nadał warsztatowi jakże pompatyczną nazwę „Fabryka Transmisji, Maszyn i Odlewnia Zelaza Johanna Johna w Łodzi Ziemi Piotrkowskiej". Inna sprawa, że John rzeczywiście produkował transmisyjne odlewy, wsporniki, łożyska, także koła pasowe i zamachowe. Zamówień miał dużo, gdyż każdy szanujący

Dalszy ciąg na str. 3

KONRAD FREJDLICH

Ludzie i okręty

W chwili, kiedy pisałem ten reportaż — mgr inż. Stanisław Sołdek jeszcze żył. Jego śmierć przyszła nagle. Postanowiłem nie przerabiać reportażu, aby jeszcze raz pokazać w akcji zdrowego, pełnego energii człowieka, którego praca przyniosła naszemu budownictwu okrętowemu dużo pożytku.

KIEDY W LISTOPADZIE 1948 ROKU W POZNACZONEJ JESZCZE ŚLADAMI WOJNY STOCZNI GDAŃSKIEJ SPŁYNĄŁ NA WODĘ KADŁUB PIERWSZEGO PEŁNOMORSKIEGO STATKU ZBUDOWANEGO W KRAJU MAŁO KTO PRZYPUSZCZAŁ, ŻE W BUDOWNICTWIE OKRĘTOWYM WYROŚNIEMY SZYBKO NA SUPERMOCARSTWO.

Ten pierwszy nazywał się s/s „Sołdek". Jest dziś staruszkiem, bo statki starzeją się prędzej niż ludzie, ale w dalszym ciągu pełni swoją służbę w szczecińskiej PŻM. Pływa po rudę do portów skandynawskich i prawie nigdy nie zawija do Gdańska.

— Ja — powiada Stanisław Sołdek — znam swój statek już tylko ze zdjęć. Płynąłem nim raz, w roku 1949, w próbnym rejsie po Zatoce. Moi chłopcy, synów mam, chodzą do szkoły, w ogóle nie widzieli tego parowca. I może go nigdy nie zobaczą, bo niedługo pójdzie pewnie na złom. Stary już jest.

Stanisław Sołdek ma dziś pięćdziesiąt dwa lata i jest inżynierem. Pracę w stoczni zaczynał jako traser, ale w roku 1950 podjął studia na Politechnice Gdańskiej, a w cztery lata później odebrał dyplom inżynierski. Stocznia przyznała mu na okres nauki stypendium w wysokości jego dawnej pensji, 600 złotych miesięcznie. Koledzy z pracy mieli godziny nadliczbowe, premie, on przesiadywał do nocy nad książkami.

— Z początku trudno mi szło, nie byłem już taki młody — mówi Sołdek. — Ale wciągnąłem się, a na starszych latach prawie nie miałem kłopotów.

Kiedy wrócił do stoczni z dyplomem, prowadził budowę dziesięciotysięcznika „Kapitan Kosko" i popłynął na nim w rejs gwarancyjny do Zatoki Meksykańskiej. W jedenastostopniowym sztormie statkiem rzucało jak piłką, wiatr zerwał nawiewy wentylacyjne na pierwszej ładowni, ale dziesięciotysięcznik nie zawiódł ani budowniczych ani marynarzy.

W 1956 roku inżynier Stanisław Sołdek zrobił magisterium pisząc pracę „Organizacja maksymalnego wyposażenia kadłuba na pochylni", a w dwa lata później rozstał się ze Stocznią Gdańską im. Lenina. Jest teraz dyrektorem stoczni „Wisła" w Gdańsku, gdzie robi się zbiornikowce i drobnicowce dla PŻM.

Ale „era rudowęglowców" uczyniła głośnym nazwisko jeszcze jednego robotnika stoczniowego, którego brygada niterska uwieczniona została na burcie trzeciego z kolei statku zbudowanego w powojennym Gdańsku. Pływa do dziś jako s/s „Brygada Makowskiego" rozcinając fale Bałtyku z szybkością 11 węzłów i z dużej odległości łatwo pomylić jego sylwetkę z bliźniaczym „Sołdkiem". Ludzi pomylić nie można. Inżynier Stanisław Sołdek ma już lekko przerzedzone włosy i zmęczony głos, tylko oczy zachowały dawną, młodzieńczą świeżość. Brygadzi-

Dalszy ciąg na str. 4

ze ŚWIATA

OŻYWIENIE przedurlopowych miesięcy zaakcentowane zostało wyraźnie naradą ministrów spraw zagranicznych, jaka z udziałem szefów resortów zagranicznych 7 krajów socjalistycznych odbyła się w Budapeszcie. Jak stwierdza opublikowany po dwudniowej naradzie komunikat, dokonano na niej „wymiany poglądów na niektóre aktualne problemy rozwoju sytuacji w Europie", poświęcając szczególną uwagę zagadnieniom, dotyczącym aktywizacji przygotowań do konferencji europejskiej.

W czasie, jaki minął od października ub. roku, kiedy to na naradzie w Pradze wysunięto konkretne propozycje na temat porządku dziennego projektowanej konferencji, były one przedmiotem zainteresowania wielu krajów. Świadczy to, że są one realistyczne, odpowiadające zainteresowaniom krajów naszego kontynentu. Ministrowie uchwalili więc memorandum, którego tekst opublikowany został przez sobotnią prasę.

Jakie są jego najistotniejsze elementy?

Wyniki dwu — i wielostronnych konsultacji wykazują, że nadszedł czas, by przystąpić do praktycznych prac przygotowawczych do konferencji. W pracach tych pożądany jest udział zainteresowanych państw. Chodzi tu o wszystkie państwa europejskie, nie wyłączając NRD i NRF, oraz USA i Kanadę, których uczestnictwo w konferencji mogłoby być celowe.

Memorandum podkreśla, iż w wielu krajach mówi się nie o jednej, lecz serii konferencji, które w rezultacie doprowadziłyby do trwałego systemu bezpieczeństwa europejskiego.

Kraje socjalistyczne proponują włączenie do porządku dziennego europejskiej konferencji powołania organu, który zajmowałby się bezpieczeństwem i współpracą. Mógłby on rozpatrzyć kwestię redukcji obcych sił zbrojnych na terytorium państw europejskich.

Drugi punkt porządku dziennego projektowanej konferencji — sugeruje memorandum — można by rozszerzyć, włączając do niego sformułowanie o rozwoju stosunków kulturalnych.

Propozycje te uwzględniają opinie, jakie wypowiedziane zostały przez różne państwa.

W końcowym fragmencie budapeszteńskiego dokumentu czytamy:

„Rządy, występujące z niniejszym memorandum, są przekonane, że zwołanie konferencji europejskiej w wyniku wspólnych wysiłków wszystkich zainteresowanych państw byłoby istotnym czynnikiem odprężenia, wzmocnienia bezpieczeństwa i rozwoju pokojowej współpracy w Europie".

Memorandum ma na celu poinformowanie zainteresowanych państw o poglądach inicjatorów konferencji. Uwzględnia ono uwagi, jakie zgłoszono w toku dotychczasowej wymiany poglądów na ten temat, nie wiąże konferencji żadnym terminem, ale podkreśla wejście przygotowań w wyższy, praktyczny etap. Ma wagę dokumentu, do którego nie można się nie ustosunkować. Znajdzie przeto szeroki oddźwięk w krajach europejskich.

* ☆ *

W OSTATNICH dniach uwagę komentatorów skupia Bliski Wschód. Tym razem nie militarno-polityczna sytuacja, lecz szeroko rozreklamowana inicjatywa Stanów Zjednoczonych.

Na konferencji prasowej sekretarz stanu — Rogers oznajmił, iż właśnie zakończono szczegółową analizę różnych aspektów problemu blisko wschodniego. „W konsekwencji tej oceny — stwierdził — Stany Zjednoczone podjęły polityczną inicjatywę, której celem jest zachęcenie stron, aby zaprzestały wymiany ognia i rozpoczęły rozmowy pod auspicjami ambasadora Jarringa".

Rogers dodał, że nie byłoby celowe ujawnianie szczegółów inicjatywy. Stworzył także wrażenie, że USA nie udzielą obecnie dalszej pomocy militarnej dla Izraela. Przyciśnięty jednak do muru pytaniami, czy oznacza to wprowadzenie nowych elementów do polityki amerykańskiej, kategorycznie zaprzeczył. „Prezydent Nixon wyraźnie określił swą politykę wobec Izraela i polityka ta nie ulegnie zmianie". Już tylko to stwierdzenie podważa szczerość amerykańskiej inicjatywy. Komentatorzy zauważają, że ma ona na celu efekty propagandowe i że potrzebna jest Stanom Zjednoczonym, po negatywnej odpowiedzi świata arabskiego, do otworzenia drogi dla nowych dostaw dla Izraela amerykańskich samolotów bojowych. Potwierdzenie bowiem dostaw bez takiej argumentacji zniszczyłoby resztki wpływów USA w świecie arabskim.

Plan — podkreślają komentatorzy — ma zresztą wiele wad: różnicuje kraje arabskie, podczas gdy one same podejmują wysiłki w kierunku jedności, pozostawia na uboczu sprawę palestyńską, zakłada demilitaryzację stref należących do ZRA, po przeciwnej zaś stronie — tylko terenów, zagarniętych w wyniku agresji czerwcowej...

Inicjatywa amerykańska stwarza podstawy do różnorodnych spekulacji prasowych — ich wartość jest jednak równie wątpliwa, jak sam plan.

W. SŁAWSKI

Nauka w walce z przestępczością

„DAILY MIRROR" — MANCHESTER

Najbardziej efektywnym sposobem walki z przestępczością jest stosowanie naukowych metod pracy. Problemy te znajdują się w centrum uwagi naukowego komitetu doradczego przy brytyjskim ministerstwie spraw wewnętrznych. Niezależnie od prac wspomnianego komitetu, który utworzono kilka lat temu, Scotland Yard, brytyjskie laboratorium kryminologiczne oraz niemal wszystkie laboratoria policyjne w większych miastach Wielkiej Brytanii już dużo wcześniej zaczęły korzystać z najnowszych zdobyczy współczesnej nauki.

Ostatnio do walki ze światem przestępczym wprzęgnięto również badawcze centrum broni atomowej oraz instytut badawczy królewskiego centrum lotniczego.

Odciski palców — to rzeczywiście tradycyjnie pierwszy ślad, którego się szuka na miejscu przestępstwa. Jednakże, bardzo często, poszukiwania te były albo bezowocne, albo trwały zbyt długo. Obecnie, współczesne metody badania powierzchni, oparte na wykorzystaniu polaryzacji światła lub na obserwacji odbitych promieni w wąskiej skali fal, czy też na badaniu widma pochłaniania substancji chemicznych, które zawiera odcisk palca, bardzo wydatnie skracają proces „odczytania" odcisków pozostawionych przez przestępcę. „Nieczyste" odciski palców, to jest pozostawione na szorstkich powierzchniach, mają stosunkowo małą wartość dowodową. Prace badawcze prowadzone w brytyjskim centrum atomowym, zmierzające do ustalenia chemicznego składu odcisków ręki ludzkiej na różnych powierzchniach, pozwolą — być może — na dowodowe wykorzystanie i takich śladów. Jeśli prace te zostaną uwieńczone powodzeniem, uczeni podejmą badania nad ustaleniem różnych wariantów w składzie chemicznym odcisków, pozostawianych przez różnych ludzi. Opracowanie odpowiedniej metody naukowej w tym zakresie będącej kwintesencją tych prac, pozwoli na wydatne usprawnienie śledztwa.

Analogiczny cel mają badania, prowadzone również w centrum atomowym, zmierzające do opracowania metody neutronowej analizy składników chemicznych włosów. Włosy naświetla się neutronami w reaktorze atomowym, a następnie, badając widmo ich promieniowania, można ustalić we włosach wartości poszczególnych elementów chemicznych. Właśnie dzięki tej metodzie, specjalistom z wydziału medycyny sądowej uniwersytetu w Glasgow, udało się wykryć ślady arszeniku we włosach Napoleona. Ci sami naukowcy, badając włosy różnych ludzi stwierdzili, iż posiadają one indywidualne cechy w składzie chemicznym. Mimo to, metoda ta nie daje na razie absolutnej gwarancji wyselekcjonowania przestępcy spośród podejrzanych. Niemniej jest takim samym środkiem pomocniczym w pracy kryminologa, jak stosowane już od dawna metody badania krwi, śliny i innych wydzielin organizmu ludzkiego. Metoda analizy neutronowej ma również zastosowanie w badaniu odłamków szkła, odprysków farby, analizy włókien tekstylnych itp.

Innym sposobem identyfikacji przestępcy będzie charakterystyka głosu, która — zdaniem specjalistów z kompanii „Bell Telephone" — jest równie unikalna, jak odciski palców. „Odciski głosu" wykorzystują już teraz amerykańskie sądy, jako dowód rzeczowy. Jest pewne, iż sygnalizacja alarmowa, na przykład w skarbcach bankowych, będzie sprzężona z systemem magnetofonów, które w razie napadu utrwalą na taśmach magnetycznych głosy włamywaczy. Fachowcy zapewniają, iż specjalne metody analizy całkowicie wykluczają możliwość "podrobienia" głosu. Co więcej — analizie będzie można poddać nawet szept.

Wszystkie te metody zmierzają do jednego celu — szybkiego wykrycia przestępcy i ustalenia okoliczności przestępstwa.

Poszukiwanie jest jednym z tych elementów dochodzenia, któremu wprost nieocenione usługi oddają elektroniczne maszyny obliczeniowe, pracują bowiem szybko i bez przerwy. Jednakże zgromadzenie i „zmagazynowanie" całej ogromnej informacji o przestępcach i przestępstwach — tak, aby móc z nich dowolnie korzystać — wymaga opracowania racjonalnego systemu kadrowania. Opracowano takie systemy, ale okazało się, że pojemność „pamięci" nawet nowoczesnych maszyn elektronicznych jest za mała, by móc w niej przechować potrzebną ilość informacji. Liczba zarejestrowanych przestępstw w Anglii wynosi w przybliżeniu milion rocznie. I chociaż przy współczesnych metodach wykrywalności przestępstw sąd orzeka winę zaledwie w 40 procentach przypadków, to i tak ogólna liczba skazanych przestępców sięga do dnia dzisiejszego kilku milionów osób. To już dalece przewyższa tzw. „operatywną pamięć" nawet najbardziej sprawnych maszyn liczących. Wobec tego pozostaje prowadzenie uzupełniającej drobiazgowej ewidencji przestępstw na niezliczonych taśmach magnetycznych. Zdolność przepustowa takiego systemu, ze względu na żmudne odszukiwanie potrzebnej informacji, jest bardzo ograniczona. Robi się różne próby rozwiązania tego problemu.

Podczas jednego z procesów kryminalnych wyłoniły się trudności ze znalezieniem zwłok ofiary, które zabójca ukrył w trudno dostępnym miejscu. Przeprowadzono więc próbę wykorzystania w kryminalistyce, znanej w archeologii, metody poszukiwania grobowców. Polega ona na użyciu protonowego magnetometru, który wykrywa lokalną anomalię pola magnetycznego Ziemi, spowodowaną obecnością pod powierzchnią ciała stałego.

* ☆ *

Mimo, iż metody te nie są jeszcze ostatnim słowem kryminalistyki, już dziś wiadomo, że oddanie na jej usługi najnowszych zdobyczy współczesnej nauki daje doskonałe wyniki. W najbliższej przyszłości, jak twierdzą specjaliści, dzięki stosowaniu naukowych metod pracy, szybkie i bezbłędne wykrycie przestępcy nie będzie problemem.

„Kastowa" stolica świata

„MORNING STAR" — LONDYN

Miasto Brasilia proklamowano oficjalnie nową stolicą Brazylii w 1960 roku. Wydawało się jej twórcom, iż ultranowoczesne budynki miasta zasiedlą ludzie bez względu na pochodzenie klasowe i stan majątkowy — bankierzy i posłowie pospołu z kierowcami samochodów, urzędnikami, pomocniczym personelem parlamentu itd.

Jednakże teraz, po dziesięciu latach swego istnienia, Brasilia stała się jedną z najbardziej „kastowych" stolic świata. Najbogatsi i wpływowi ludzie zamieszkali w wielopiętrowych domach „superdzielnic", wojskowi odizolowali się w innej luksusowej dzielnicy miasta, wyżsi urzędnicy państwowi jeszcze w innej, a posłowie do parlamentu znów gdzie indziej.

Niższym urzędnikom zaoferowano długie rzędy niskich i pośpiesznie zbudowanych bloków, tańszych i nieładnych. Szoferzy i robotnicy gnieżdżą się w biednych dzielnicach peryferyjnych, rozrzuconych wokół ultranowoczesnego centrum miasta.

Generałowie, sprawujący władzę w Brazylii, w roku 1964 „załatwili rozkazem" to, czego nie mógł załatwić drogą perswazji inicjator nowej stolicy — prezydent Kubitschek i jego następca, prezydent Goulart: polecili przenieść urząd rady ministrów do Brasilii i tam załatwiać wszystkie sprawy państwowe. Korpus dyplomatyczny zostanie przeniesiony do stolicy do roku 1972. Dla zagranicznych dyplomatów jedyną pociechą jest to, iż stolica ma ograniczoną ilość dróg przelotowych, co utrudni porywanie dyplomatów...

Generałowie przeprowadzili gruntowną czystkę w stołecznym uniwersytecie, podobnie jak to zrobili swego czasu w innych uniwersytetach kraju, gasząc w ten sposób jedno z intelektualnych ognisk stolicy.

Na trawiastych placach miasta słychać gwar dziecięcych głosów. Chłopcy grają w piłkę lub rzucają papierowe żmije. Wojskowy reżim nie wydał jak dotąd rozkazu, zabraniającego chodzenia po trawie...

„Czasy drutu kolczastego"

„MAINITY DAILY NEWS" — TOKIO

Kolekcjonowanie zardzewiałego drutu kolczastego stało się w Stanach Zjednoczonych jedną z najmodniejszych pasji. Miłośnicy tego hobby płacą za interesujący „egzemplarz" 50 dolarów, a niedawno jeden z kolekcjonerów nawet nie mrugnął powieką i zapłacił sto dolarów za kawałek drutu długości 35 cm, bo był „ładnie zardzewiały".

W Teksasie zbieracze drutu kolczastego wydają specjalne pismo pn. „Barbed Wire Times", co można by przetłumaczyć: „Czasy drutu kolczastego"...

W Kalifornii otwarto jedyną w swoim rodzaju wystawę, zorganizowaną przez lokalny związek kolekcjonerów drutu kolczastego, na której miłośnicy tej manii prezentują ponad 400 eksponatów zardzewiałego drutu kolczastego różnej długości.

Ale sprawa nie kończy się na tym. Na przykład Amerykanin Paul B. Flory nigdy się nie obraża, gdy mówią mu, że ma największe szanse w USA do utopienia się z kamieniem u szyi. Flory zbiera bowiem... koła młyńskie, którymi zawalony jest cały jego ogród. Wśród „eksponatów", które sprowadził z różnych rejonów Stanów Zjednoczonych, a także z Anglii, Francji, Holandii i Kanady, znajdują się okazy ważące ponad tonę.

Pęd do tak udziwnionego „kolekcjonerstwa" nie omija również słabszej połowy rodzaju ludzkiego. I tak na przykład, w Nowym Meksyku, pewna czcigodna lady zbiera żmije. Któregoś dnia mąż niebezpiecznej „kolekcjonerki" nie wytrzymał nerwowo i złożył skargę do sadu: „Nie protestowałem, kiedy zbierała małe żmije, gdy przywiozła do domu ogromnego węża boa, uznałem, że nadszedł czas, aby się rozstać z żoną i z wężami"...

W następnym numerze **„ODGŁOSÓW"**:

- **ROMAN SZYDŁOWSKI** – Podróż za dwie granice
- **ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI** – Meksyk w Jugosławii
- **M. GLINKOWSKI** – Dobry rok

oraz

felietony, recenzje, pewien sensacyjny proces i in.

„STRZELCZYK" i MIKRONY

Dalszy ciąg ze str. 1

się fabrykant instalował wówczas kotły parowe. Pierwszą zresztą w Łodzi maszynę parową puścił w ruch nie kto inny, tylko energiczny John, uchodzący za typowego przebojowca.

W 1907 roku John zatrudniał 287 osob, w 1915 już 600. Tuż przed wybuchem wojny firma przekształciła się w spółkę akcyjną. Miała przedstawicielstwa w Kijowie, Moskwie, Piotrogradzie, także w Pekinie i Szanghaju. John spoglądał na Wschód. Tam upatrywał możliwości zbytu i ekspansji. Wystawił nowe hale. Zainstalował w nich suwnice, co było w mieście całkowitą nowością. Pierwsza wojna światowa położyła przedsiębiorstwo na obie łopatki. Niemcy zmusili Johna do produkcji zapalników, granatów i gilz do pocisków. Ściągali wszystko co miało dla nich wartość. Nie gardzili nawet koksem. Rekwizycje i demontaż maszyn doprowadziły kwitnącą za czasów carskich firmę na skraj ruiny.

W latach między pierwszą a drugą wojną światową johnowskie zakłady złapały drugi oddech i rozrosły się jeszcze bardziej. Koniunktura układała się korzystnie. Kiedy patrzy się dziś na wszystkie te dobudówki, które wypełniają obszar od Piotrkowskiej po Wólczańską, tworząc zamknięty kompleks budowli, bez trudu daje się wywnioskować po odmienności stylu i budulca, z jak różnych pochodzą okresów. Są niskie i wysokie, tandetne i masywne. Jest ich mnóstwo, nawarstwione jak słoje na starym drzewie. Każdy oznacza jakiś etap na drodze Johna do fortuny.

Tuż przed wojną, w 1939 roku u Johna pracowało 1600 robotników.

Była to naonczas „największa w Polsce wytwórnia pędni", ale wyrabiano też tokarki, rewolwerówki, nawet skrzynie biegów do „chevroletów". W 1938 roku firma przechwyciła duże zamówienie dla polskiej armii. Specjalizowano się w osiach do dział. John stracił już jednak wszelką nad swym przedsiębiorstwem kontrolę. Największy portfel akcji należał do Eiserta, Geyera, Wiedego, Milkera, Biedermana i Schweikerta. John był tylko udziałowcem. Następca tronu, Guido John, absolwent Politechniki w Akwizgranie objął posadę kierownika odlewni.

Inna rzecz, że się opłacało. Kierownicy działów brali wtedy u „Johna" po 1.300 złotych miesięcznie. Majstrowie mieli po 400—800 złotych. Pensje urzędników biurowych nie przekraczały 450 złotych. A co z dyrektorami? Nieźle. Dyrektorskie pensje nie schodziły niżej 2.000 złotych miesięcznie. W społeczno-narodowościowej hierarchii Łodzi zachodziły już przed wojną szybkie i daleko idące zmiany. Funkcje dyrektorów zaczęli u Johna sprawować Polacy, inżynierowie Tyszka i Benedek.

☆

Johnowie odeszli. Co zostawili, przeszło w ręce „Strzelczykowców". Ci zaś tyle zgromadzili przez ten czas środków, że mogli się rzucić na budowę całkowicie nowych zakładów mechanicznych na Dąbrowie. Przedsięwzięcie jest w dziejach miasta, już choćby z tego względu bez precedensu, że oznacza wkroczenie miasta w dziedzinę mikronów. To już trójskok w wyższe rejony technicznego wtajemniczenia. To żaden już dziś tytuł do chwały tkać tkaniny na krosnach. Dzieciaki to niegdyś potrafiły. Kraje gospodarczo zacofane zwykle od włókna rozpoczynają mozolną wspinaczkę do technicznego zaawansowania. Dziś inna już skala porównań.

Przedstawili się:

— Krawczyk, Schmidt, Kowalczykowski, Jabłecki...

Już wiedziałem, choć mi o tym nie wspomnieli słówkiem. Wiedziałem, że są inżynierami. Czy mogło być inaczej? Nie afiszowali się tytułem, bo to dzisiaj już takie zwykłe i naturalne.

Rzutki Kowalczykowski o wybitnie ruchliwym usposobieniu odpowiedział:

— Rocznie będziemy produkować na Dąbrowie 1500 szlifierek wartości 398 milionów złotych.

— A ile będzie nas kosztować nowy „Strzelczyk"?

Wtrącił się Jabłecki:

— W przybliżeniu 317 milionów.

— Czyżby inwestycja miała się zamortyzować przez rok?

Tym razem odpowiedział Schmidt, ze wszystkich najmłodszy.

— To nie takie proste. Zależy po jakim kursie przeliczymy import maszyn.

— Import?

Flegmatyczny Krawczyk, wygadany i szlifierkowy ekspert wejrzał na mnie jakby z pobłażaniem.

— To pan nie wie? Fabryka ma być najnowocześniejsza w kraju. Kupujemy gdzie tylko się da najlepszy aktualnie sprzęt bez oglądania się na koszty.

To taka wyjątkowa fabryka ten nowy „Strzelczyk" na Dąbrowie, że ma już dziś portfel zamówień na wiele, wiele lat. O superdokładne szlifierki z Łodzi do płaszczyzn, wałków, otworów, które mają wygładzać części do maszyn z odchyleniem nie większym od mikrona, dobijają się importerzy z Niemieckiej Republiki Federalnej, Francji, Grecji, Stanów Zjednoczonych i jeszcze 40 innych krajów. Mają to być krótkie serie. Szlifierka to nie samochód, żeby ją można było powielać w milionowych nakładach. I wymagania. Co innego tropik, co innego Stany Ziednoczone. Tu bakterie i nieznane mikroby. Tam różne całkowicie napiecie i częstotliwość prądu. Ale najważniejsza jest zegarmistrzowska precyzja w robocie. Wrzeciono, które ma kształt krąg

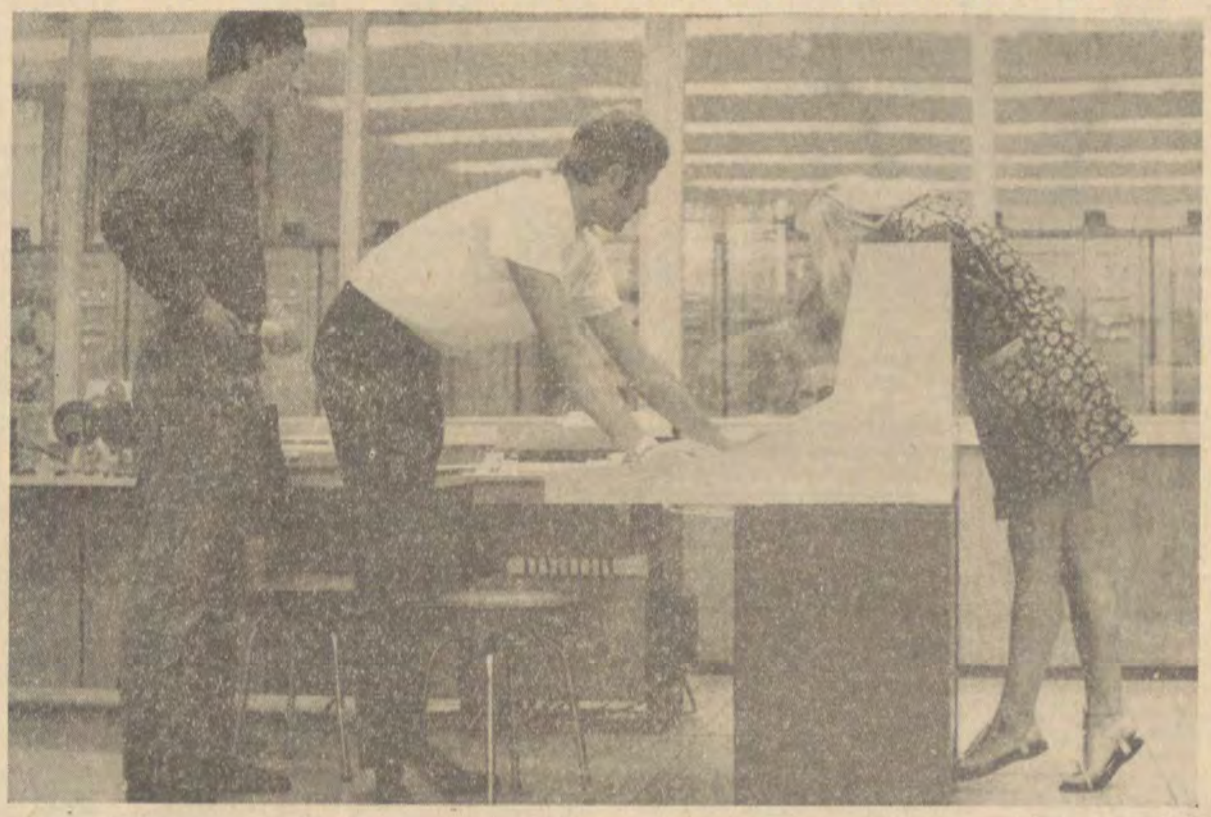

łego walka, jest bijącym sercem szlifierki. O jakichkolwiek odkształceniach nie może być mowy. A przecież wystarczy chuchnąć na płat metalu, a już się odkształca o dobry jeden mikron.

Zbudować fabrykę najnowocześniejszych szlifierek w ciągu 2 lat? Początkowo termin brzmiał — 30 miesięcy. Wtrąciły się czynniki i zaordynowały, by fabrykę ukończyć w 24 miesiące. Krytyczne chwile przeżywano pierwszej zimy. Fabryczne mury już zaczęły majaczyć, a miasto nie nadążało. Gdzieś po drodze utknął przed torami ciepłociąg. W budowanej z dużym pośpiechem hali wiało lodowatym chłodem. Nie pomagały futrzane kożuchy i ciepłe, wywatowane gumiaki. Groził postój. Wtedy kierownictwu zaświtała myśl, by sprowadzić lokomotywę. Udało się. Skierniewiccy kolejarze wyłączyli z ruchu na węźle jeden parowóz. Lokomotywa ma kocioł. Ten daje parę. Więc ją rozprowadzono prowizoryczną instalacją po nie ukończonej jeszcze hali.

Na Dąbrowę zaczęły nadchodzić zwaliste skrzynie imponujących radzieckich strugarek, 12-metrowej długości. Nadchodziły też czeskie dłutownice, NRD-owskie frezarki, węgierskie szlifierki do gwintów, szwedzkie szlifierki do nakrętek, a jeszcze, a jeszcze.... Wiele z tych maszyn było unikalnych. Skonstruowano je na specjalne zamówienie Łodzi. Dni pełne nerwowej krzątaniny. Sprzęt spoczywał na wozach, a nie można go było przenieść do hali i szybko zamontować. Wozy tonęły po oski w błocie, robotnicy zapadali po kolana w grzęzawisku i tak centymetr po centymetrze w bajorach i śniegu, przeciągano maszyny pod dach. Ręcznie. Suwnic ani dźwigów jeszcze nie było.

W głównej hali uderza teraz gorączkowy pośpiech.

Już chodzą suwnice. Jest ich kilkadziesiąt, nawet 8- i 12-tonowe. Jest też inna aparatura do transportu. Szlifierz naciśnie i sztuczną ręka sama mu podsunie ogromny wał do obróbki. Trwa też układanie betonu. Jedna warstwa, potem izolacja, jeszcze beton, jeszcze coś tam na dodatek. Czy ma kto pojęcie jakie ma wymagania obrabiarka „Schaudta" ze Stuttgartu? Nie znosi żadnych drgań. Nie toleruje żadnych różnic w temperaturze i wilgotności powietrza. To arystokratka w rodzinie obrabiarek. Kto wszakże o niej dba może spać spokojnie. Maszyna nie popełni błędu większego niż pół mikrona.

Przygotowywane są również miejsca pod najnowocześniejsze w świecie wiertarko-frezarki „Dixi" ze Szwajcarii. I na szlifierki do łóż „Waldrich Siegen". Te myślące w pewnym sensie maszyny o samoczynnym sterowaniu muszą być idealnie odizolowane od zewnętrznych wpływów. Pracują jak najlepszy komputer, gdy im się zapewni „splendid isolation". Jakich trzeba rąk do obsługi tych cudownych automatów. Jakich mózgów i talentów. Rasowy szlifierz zdarza się tak samo rzadko jak rasowy piłkarz. Musi mieć wspaniały słuch, sokole oko, spokój kosmonauty i kondycję wieloetapowego kolarza.

☆

Czy Łódź takich szlifierzy wykształci, wychowa i wytrenuje? A owa stajnia, właściwie kuźnia niezrównanych szlifierzy z Piotrkowskiej i Wólczańskiej to niby nic? Już wychowali swoich następców. Jest tego cała drużyna i to międzynarodowej klasy. Ci starsi przeszli twardą szkołę u Johna. Z kadrą John kłopotów nie miał. Gorzej już było z zamówieniami. W resztkach johnowskiego archiwum można się natknąć na teczkę z nadrukiem „Wywiady". Cóż to za indeks. Jaka lektura. Oderwać się trudno. John korzystał z usług prywatnych firm trudniących się finansowym zwiadem na użytek przemysłowych potentatów. Dużym wzięciem cieszyła się „Wywiadownia Handlowa Kazimierza Piechockiego" w Warszawie.

Kilka próbek z sondaży Johna w 1936 roku:

„Józef Mordka Weinberger. Na terenie Tomaszowa majątku nie posiada i jego sytuacja finansowa w miejscowych kołach jest nieznana...".

„Alfred Łożek, Myszków, ulica Kościuszki. Łożek jest technikiem. Mieszka w jednym pokoju, prawie że pozbawionym umeblowania. Opinia o nim na miejscu nic ujemnego nie głosi, lecz dla udzielenia mu kredytu zupełnie brak podstaw".

„Kazimierz Wein, Farbiarnia, Łódź, ulica Sierakowskiego. Firma walczy z trudnościami. Jej wypłacalność jest bardzo opieszała. Kierownictwo również nie stoi na wysokości zadania. Informatorzy radzą w stosunku z tą firmą zachować ostrożność".

„Włodzimierz książę Czartoryski, żonaty, jest właścicielem majątków ziemskich, ogólną ich wartość ocenia się na 1.500.000 złotych. Roczny dochód z majątków 50.000 złotych. Książę Czartoryski z Bielin, województwo lwowskie cieszy się pierwszorzędną opinią sfer ziemiańskich i kupieckich. Można mu udzielić kredytu wekslowego...".

„Izaak Buk, dzierżawi młyn w Jagielnicy. Młyn jest wodny i przemiela cudze zboże za opłatą. Całe urządzenie stanowi własność hrabiego Lanckorońskiego. Buk majątku nie posiada. Nie dysponuje też gotówką, weksle dopuszcza do protestu i skargi...".

John usilnie się starał rozszerzyć zbyt na swe pędnie. Równocześnie musiał rozglądać się na wszystkie strony, by mu kto nie podstawił nogi i nie wystawił z wekslami do wiatru. Dzisiejszy „Strzelczyk" nie o zbyt walczy tylko o możliwie najwyższą produkcję. Możliwości zbytu wyprzedzają możliwości produkcji. Szlifierki mają dość długą historię. Już 100 lat temu zorientowano się, że nikt nie zbuduje dobrej maszyny bez tokarza, frezera i szlifierza. Pierwszą szlifierkę wypuściła na rynek amerykańska firma „Brown and Sharpe" w 1874 roku.

Rozmaite są wskaźniki ułatwiające określenie rangi przemysłowej państwa. Jednym z najbardziej niezawodnych jest udział szlifierek w obróbce metali. W rozwiniętych krajach Europy wynosi on 25—30 proc., w Stanach Zjednoczonych nawet 33 proc., w Polsce zaledwie 7 proc. Deficyt szlifierek jest tak duży, że na wybudowanie nowego „Strzelczyka" dano tylko 24 miesiące. Więc to nie złośliwość ministerstw dyktuje tak ostre tempo. Potrzeby nas poganiają. Nie dają odsapnąć. Postęp techniczny głód na szlifierki jeszcze zaostrza. „Strzelczykowcy" w tych starych johnowskich murach już nie dawali rady. Kraj wyciąga ręce, a jeszcze dużą część produkcji trzeba oddać na eksport.

☆

Początek zrobił John. W jakiejś tam mierze zasłużył się dla miasta. Ta austriacka rodzina mocno się zresztą z biegiem lat spolszczyła. Najmłodsza latorośl rodu, Gui do John nosił mundur polskiego oficera. Walczył z hitlerowcami na froncie. Opowiadał mi Szadkowski, niegdyś elektryk, dziś brygadzista u „Strzelczyka", że matka młodego Johna często wzywała elektryków podczas okupacji do swej willi, żeby jej naprawili światło. Szadkowski zaglądał tam często. Za każdym razem widział oficerską czapkę jej syna. Wisiała jakby nigdy nic na wieszaku. Sam Guido John już nie żył. Został zastrzelony przez hitlerowców w ogrodzie Geyerów przy placu Reymonta.

JAN BABIŃSKI

WITOLD KOCHAŃSKI

Najmniej znaną rzeczą...

„Najmniej bo znaną rzeczą bywa słowo". — Mogło by się wydawać, że ta myśl Norwida, wypowiedziana sto lat temu w „Rzeczy o wolności słowa", była i jest tylko błyskotliwym paradoksem. Jakże bowiem może być „najmniej znaną rzeczą" słowo, inaczej się wyrażając — zasób leksykalny języka, którym się posługujemy na każdym kroku, w każdej sytuacji życiowej. A jednak... A jednak to nie jest paradoks, lecz wnikliwa i trafna ocena rzeczywistości językowej zarówno współczesnej poecie, jak i obecnej, którą jakże często cechuje nieumiejętne, sprzeczne z kryteriami poprawności języka i stylu operowanie słowem.

Brak poczucia odpowiedzialności za dobór leksykalnych środków wyrazu szczególnie się zaznacza w języku środków przekazu masowego: prasy, radia i telewizji. Przejawów tego niedbalstwa językowego jest dużo. Jednym z najbardziej rzucających się w oczy wydaje mi się nadużywanie, podkreślam: nadużywanie wyrazów obcych. Podkreślam to dlatego, że nie chciałbym, by mnie ktoś posądził o puryzm, od którego jestem jak najdalszy. Jestem tylko przeciwnikiem posługiwania się wyrazami obcymi tam, gdzie można znaleźć ich swojskie odpowiedniki całkowicie równorzędne znaczeniowo i ekspresywnie, no i oczywiście używania ich w niewłaściwym znaczeniu.

Rozważmy rzecz na przykładzie: „Region Morskiego Oka to *unikalny* zespół krajobrazowy (...). Nie można tu wybudować (...) potężnej jadłodajni *serwującej* tysiąc obiadów w ciągu dnia." Przytoczone zdanie zaczerpnięte z prasy codziennej zawiera m. in. dwa wyrazy obce od niedawna bardzo rozpowszechnione w języku prasy: przymiotnik „unikalny" i czasownik „serwować". Zastanówmy się nad tym, czy użyto tych wyrazów potrzebnie i we właściwym znaczeniu.

Wyraz „unikalny", jak wynika z kontekstu, ma tu znaczenie: „jedyny w swoim rodzaju" Wydaje się on na pierwszy rzut oka słowem rodzimym, utworzonym od czasownika „unikać" za pomocą przyrostka „-alny", podobnie jak „dotykalny" od „dotykać", „jadalny" od „jadać", „widzialny" od „widzieć". Gdyby tak jednak naprawdę było, „unikalny" znaczyłby „ten, którego można (lub należy) unikać", bo „dotykalny" to „ten, którego można dotykać", „widzialny" — ten, którego można widzieć", itd. Znaczenie: „jedyny w swoim rodzaju" jest więc sprzeczne z tym, które wynika z budowy słowotwórczej wyrazu „unikalny". Źródło tej sprzeczności to właśnie okoliczność, że ten przymiotnik wbrew pozorom nie powstał na gruncie polskim, lecz został żywcem przejęty z języka rosyjskiego, w którym „unikalnyj" ma takie znaczenie. Jest to więc rusycyzm, zapożyczony niepotrzebnie, bo ma kilka odpowiedników rodzimych „jedyny w swoim rodzaju", „wyłączny", „niepowtarzalny". Jeżeli zaś komuś te odpowiedniki wydają się nie dość precyzyjne znaczeniowo, ma do dyspozycji wyraz również zapożyczony, ale jasny słowotwórczo: „unikatowy" (od „unikat", z niemieckiego „Unikat").

Czasownik „serwować", zapożyczony z ang.elkiego „serve" — „podawać", ma za sobą dłuższą historię niż „unikalny". „Serwować" było od dawna w użyciu jako termin sportowy przy grze w siatkówkę lub tenisa (w znaczeniu: „wybijać ręką lub rakietą piłkę zza linii boiska na pole przeciwnika") i posługiwanie się nim w tym charakterze nie nasuwa zastrzeżeń. Natomiast trudno zrozumieć, po co wprowadzono „serwować" do słownictwa gastronomicznego. Nie nazwano nim nic nowego, bo „serwować" nie różni się ani znaczeniem, ani stopniem ekspresywności od tradycyjnych „podawać" i „wydawać". Jedyną więc przyczyną mógł być tani snobizm, z gruntu błędne przekonanie, że użycie zapożyczenia czyni wypowiedź wytworniejszą, bardziej elegancką.

Wniosek z tych wywodów chyba prosty: obie formy są rażące i żadna z nich nie powinna uzyskać prawa obywatelstwa we współczesnej polszczyźnie. Nie powinna, ale nie wiadomo, czy nie uzyska. Zależy to przede wszystkim od dobrej woli ludzi pióra, od tego, czy się nie będą upierać przy owych błędach, pomimo ich oczywistości. Językoznawca bowiem może tylko wskazać błąd, wyjaśnić, na czym polega, przestrzec przed nim, ale nie jest w stanie zapobiec upowszechnianiu błędnych form, bo nie dysponuje sankcjami, które by temu przeciwdziałały.

Z woleja

Portrety dwóch mistrzów

Fachowcy twierdzą, że wart jest tyle złota ile waży Edson Arantes do Nascimento czyli po prostu Pele, czarny geniusz piłki nożnej, od 14 lat zadziwia świat swoim kunsztem. Pierwszą bramkę w meczu ligowym strzelił 7 września 1957 r. na spotkaniu Santos — Corinthians de Santa Andre. Kroniki nie odnotowały, w której to było minucie i w jakiej sytuacji. Natomiast wszystkie agencje prasowe świata skwapliwie przekazały czytelnikom 78 minutę meczu o mistrzostwo ekstraklasy brazylijskiej Santos — Vasco da Gama, rozegranego 19 września 1969 r. na największym stadionie świata Maracana w Rio de Janeiro. Wtedy właśnie, o godzinie 23.23, Pele z rzutu karnego zdobywa decydującą o zwycięstwie Santosu, tysięczną w swojej karierze piłkarza, bramkę. Jedenaście minut trwały owacje kibiców, na stadionie wmurowano specjalną tablicę upamiętniającą ów fakt. Za wyczyn ten Pele otrzymał „Złotą piłkę" wagi 2 kilogramów, zrobioną z 18-karatowego złota, w etui szytym złotymi nitkami. Tym czasem krążą pogłoski, że czarny mistrz piłki nożnej, omotany siecią nieuczciwych menażerów jest w poważnych tarapatach finansowych. Pogłoski te kilkakrotnie już znajdowały potwierdzenie, ale Pele jeszcze gra, jeszcze strzela bramki na mistrzostwach świata, dla Brazylii, dla swojego Santosu, jeszcze przynosi poważne dochody piłkarskim biznesmenom. Ale co będzie później, co stanie się wtedy, kiedy już Pele nie będzie mógł strzelać bramek, kiedy już nie będzie mógł grać? Czy nie powtórzy się to, co spotkało jednego z najwspanialszych lekkoatletów świata, Indianina Thorphe, umierającego w nędzy, bez zdobytych przez siebie medali olimpijskich, które mu odebrano. Czy nie będzie musiał zastawiać w lombardzie swoich najwyższych trofeów, tak jak to uczyniła z medalami czarnoskóra biegaczka Wilma Rudolph?

* ☆ *

Fachowcy twierdzą, że którą by dyscyplinę uprawiał, wszędzie byłby mistrzem. Wybrał szermierkę. Jerzy Pawłowski, najlepszy szablista wszechczasów, trzykrotny mistrz świata, złoty medalista z Meksyku, czterokrotny drużynowy mistrz świata. Kiedy w 1957 r. w Paryżu po raz pierwszy zdobył tytuł mistrza świata zaskoczeni Francuzi nie przygotowali nawet płyty z polskim hymnem. Nieliczna Polonia odśpiewała wtedy „Mazurka" Dąbrowskiego. Jak później opowiadał Pawłowski mimo, że strasznie fałszowali odbierał to jak najpiękniejszą muzykę. Jest nadal czynnym sportowcem. Chce wywalczyć tytuł najlepszego szermierza wszechczasów, być może medal olimpijski. Trenując pracował jako oficer Wojska Polskiego, pracując uczył się zaocznie, uzyskał tytuł magistra prawa, a obecnie myśli o doktoracie.

Dwaj mistrzowie, dwa w największym skrócie przedstawione ich portrety.

Wielu młodych ludzi decydując się na tzw. karierę sportową, obierało ich drogę, a sukcesy jako to, do czego należy dążyć. Często jednak droga tych sportowców nie biegnie tak jakbyśmy tego sobie życzyli. Skuszeni mirażem łatwych zarobków marnują swoje młode lata, nie zastanawiając się nad tym co ich czeka później, kiedy przestaną być mistrzami. Szeroko dyskutowana jest w tej chwili sprawa przechodzenia na zawodostwo do zagranicznych rewii młodych polskich łyżwiarzy figurowych, którym przecież nasze państwo zabezpieczyło nie tylko odpowiednią bazę i warunki ku temu, by rozwijali swoje zdolności sportowe ale i zrobiło wszystko, by mogli kontynuować naukę i zdobyć zawód.

Wszystko więc sprowadza się do tego, że aby zostać naprawdę mistrzem nie wystarczy dobrze kopać, ścinać lub biegać, trzeba jednak przy tym myśleć o przyszłości. Z tym nasi młodzi mistrzowie, gwiazdy sezonu, tygodnia czy dnia mają jednak poważne kłopoty.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

PRZYWYKLIŚMY NAZYWAĆ PRZYRODĘ NAJWIĘKSZYM SKARBEM I NIE MA W TYM ŻADNEJ PRZESADY, A MIMO WSZYSTKO TRWA, I NAWET Z KAŻDYM ROKIEM POSTĘPUJE, DEWASTACJA POLSKIEGO KRAJOBRAZU. SKĄD WYPŁYWA TA BEZTROSKA O LOSY PRZYRODY?

Rzeki i ryby milczą

JAN SICIŃSKI

Przestępstwa dokonywane na przyrodzie nieuchronnie godzą w człowieka. Świat organiczny powiązany jest ścisłymi więzami, a naruszenie tej równowagi ekologicznej stanowi poważne niebezpieczeństwo.. By nie być gołosownym, podam przykłady. Uregulowanie rzek zwiększyło szybkość odpływu wody. odlesienie Kujaw i Wielkopolski spowodowało proces stepowienia, zmiana drzewostanu naturalnego w Tatrach — wiatrołomy itp.

Dzisiaj woda, powietrze, gleba — stały się dobrami deficytowymi, dobrami o wartościach najwyższych, bo niczym nie dającymi się zastąpić. Za kilkanaście lat zwykła słodka woda stanie się jednym z najcenniejszych surowców świata, ważniejszym niż ropa, węgiel i rudy wszystkich metali. Nasi przodkowie czcili słońce, ogień i drzewa, nasi potomkowie będą prawdopodobnie obdarzali czcią... wodę. Na Zjeździe Polskiego Towarzystwa Hydrobiologicznego w Zakopanem, latem ubiegłego roku, wyrażono zaniepokojenie z powodu szybko postępującego procesu zanieczyszczania wód... Czyżby zbliżał się czas kiedy ujrzymy grób z napisem: „Tu leży ostatni człowiek, który pił czystą wodę"?

Woda i powietrze — dwa składniki, gwarantujące utrzymanie się życia na ziemi — ulegają systematycznemu zatruciu i skażeniu. Polska należy do krajów o niedostatecznych zasobach wodnych i posiada zaledwie 64 procent przeciętnych zasobów przypadających na jednego mieszkańca Europy. Wiadomo nie od dziś, że klęski głodu wodnego są efektem nie tylko rosnącego zużycia wody, ale i niezorganizowanej, czasem wręcz rabunkowej gospodarki, niszczącej i te zapasy wody, którymi dysponujemy w sieci rzecznej. Rabunkowa gospodarka polega przede wszystkim na zatruwaniu naturalnych zbiorników wodnych przez ścieki przemysłowe i komunalne.

Czy przed taką perspektywą stoi Widawka w woj. łódzkim? Ma być wybudowana nowoczesna oczyszczalnia ścieków, ale wyznam szczerze, że nie mam przekonania do tego typu urządzeń. Przedmioty martwe cechuje wyjątkowa złośliwość, a tego rodzaju — szczególna. Oczyszczalnie z niewielkim ryzykiem będzie można przemianować na „zanieczyszczalnie". Przychodzą mi na myśl rozmyślania głównego technologa z Woli Krzysztoporskiej, który postępuje według ogólnie przyjętego schematu: „na dwoje babka wróżyła" i wypuszcza ścieki kolorowe, czekając, jaka będzie reakcja biologiczna (odpornościowa) — wypłyną zdechłe ryby czy nie? Zacznie się wtedy stan wojny z P. Z. Wędkarskim, a prasa doniesie o wytruciu ryb na określonym odcinku „rzeki", które da się wyliczyć w milionach oraz w niewymiernych stratach w zachwianej równowadze biologicznej. Do akcji włączy się Centralny Urząd Gospodarki Wodnej i Wojewódzki Wydział Gospodarki Wodnej oraz Komisja Arbitrażowa. Ktoś być może będzie się tłumaczył zawodnością urządzeń oczyszczalniczych, których eksploatacja jest bardzo kłopotliwa i kosztowna. Donie sienia prasowe będą pojawiały się coraz częściej. co będzie ludzi oburzało, ale w końcu ludzie przyzwyczają się do cuchnącego kanału, którego ścieki zatruwają ryby, zabija ją plankton, i unicestwiają roślinność dna. Trujące ścieki przyniosą ze sobą totalną śmierć całej rzece i pobliskim wodom gruntowym. W ten sposób kilometry rzeki zmienią się w strefę śmierci biologicznej, a zapasy słodkiej wody spadną w zastraszającym tempie. Zniszczone całkowicie życie biologiczne nie pozwala na tzw. „samooczyszczenie się" rzeki. W tym samym czasie ktoś otrzyma medal za wykonanie i przekroczenie planu produkcji.

Kiedy mowa o Widawce, chciałbym przypomnieć, że każda strata trudna jest do odrobienia. Zastanówmy się nad skutkami naszych działań i odpowiedzialnością przed przyszłymi pokoleniami. Jest moment decydujący! Wnuki będą o nas dobrze mówić, albo będą nas przeklinać. Wybierajmy! Nie bądźmy krótkowzroczni w inwazji użytkowo-przemysłowej. Możemy żyć bez takiej czy innej fabryki. Bez wody i powietrza żyć nie będziemy mogli. Niech będzie naszym drogowskazem slogan dziś tak modny, ale jeszcze bardziej aktualny i mądry: „Ochrona przyrody — ochroną człowieka", co w ustroju socjalistycznym należy odczytać jako ochronę społeczeństwa przed hałasem, zaprowadzaniem zmian tam, gdzie ich nie trzeba.

Moje intencje sprowadzają się m. in. do troski o Widawkę, by nie stała się rzeką martwą.

Przyroda wymaga serca i rozumu. wiedzy i kultury, ale za okazaną troskę potrafi sowicie odpłacać. Lasy i skały, gleba i zwierzęta, woda i powietrze stanowią własność całego narodu. Ochraniajmy najcenniejsze wspólne dobro. Powstał sprzyjający klimat. uwarunkowany badaniami naukowymi, wypowiedziami mężów stanu, raportami i deklaracjami, powstał Klub Prasowy „Krajobrazy". Wszystkie te poczynania sprowadzają się do ochrony przyrody, której częścią są wody Widawki. Chyba jak nikt. my tutaj w Łodzi. znamy wartość słodkiej wody — surowca nr 1. Zostala nam jedna tylko czysta rzeka. a to za wielka wartość, aby pozwolić sobie na „eksperyment". Widawkę widzę rzeką czystą i dlatego jestem przeciwny skierowaniu do niej ścieków. Już dość mamy kilometrów rzek w województwie łódzkim, gdzie nie ma żadnego życia biologicznego.

Przyroda daje i potrafi pomnażać dobra materialne, wzmaga siły witalne i potęguje radość życia, a nade wszystko zapewnia warunki bytowania. Mając na uwadze wszystko, co wyżej powiedziane, rozwiążmy zaistniały dylemat, ale rozsądnie. Budując jedno. nie niszczmy drugiego — ważniejszego.

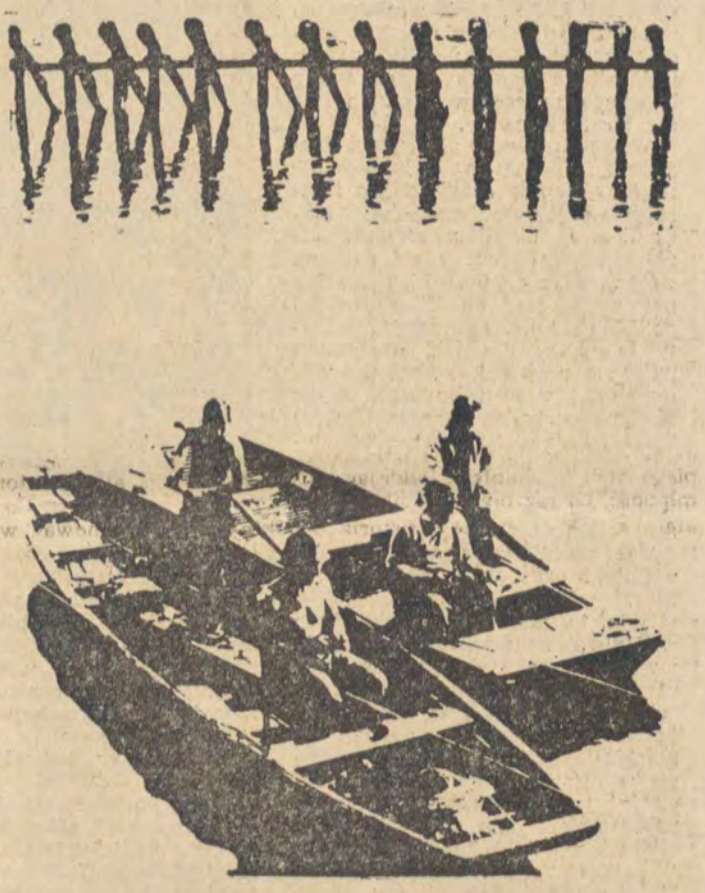

Ludzie i okręty

Dalszy ciąg ze str. 1

sta Aleksander Makowski jest niemal tak samo zawadiacki, jak na pamiątkowych zdjęciach z roku 1949, kiedy na akademii w świetlicy stoczniowej odbierał w nagrodę radio „Pionier" i oficjalnie zakomunikowano mu, że da swoje nazwisko nowej pełnomorskiej jednostce.

Na Wybrzeże przyjechał w sierpniu 1945 roku, trochę przymusowo. Nie znał i nie lubił morza, a zresztą, kiedy miał je poznać. W czasie wojny Niemcy wywieźli go do Rzeszy małym chłopcem. A gdy nastała Polska Ludowa Makowski miał wszystkiego dwadzieścia trzy lata. Powiedziano mu: Pojedziesz bracie, do Gdyni, tam są potrzebni młodzi zapaleńcy. Więc pojechał. I potem długo tęsknił do swoich stron rodzinnych.

W czterdziestym siódmym, zimą, przeniósł się do Stoczni Gdańskiej. Pracował przy remoncie holowników, potem przy budowie kutrów. Nieźle mu to szło, ale do morza wciąż się nie mógł przyzwyczaić. Inżynier Kamiński wziął go kiedyś na bok i powiedział:

— Zrobimy z ciebie nitera.

— Nitera? — wzruszył ramionami Makowski.

— Nitera. Teraz wszystko będzie zależeć od niterów — potwierdził inżynier.

Nitowanie kadłubów okrętowych to robota nieco kowalska. Nity rozgrzewa się w polowej kuźni, a potem spaja nimi arkusze blachy waląc pięciokilowym młotem.

— Praca kolektywna, męska — mówi Aleksander Makowski. — Jeden nity grzeje, drugi trzyma, a trzeci rozklepuje. A wszystko to na świeżym powietrzu, mróz, nie mróz, wiatr, nie wiatr.

Miał „pod sobą" dużo ludzi i 26 lat. Nowi garnęli się nawet do pracy, ale nie mieli jeszcze wprawy. Niterzy, którzy opanowali tajniki swego zawodu, przekraczali normy i po fajerancie lubili sobie wyskoczyć do jakiejś portowej knajpy, gdzie lekko przepuszczali zarobek. A Makowski chciał, żeby te kadłuby statków, które oplątane drewnianymi rusztowaniami wznosiły się na pochylniach, jak najszybciej spłynęły na wodę. Więc brał swoich ludzi po pracy i przemawiał im do rozumu na koleżeńskich spotkaniach. Kadłub „Sołdka" budowano siedem miesięcy, następnego rudowęglowca o miesiąc dłużej. Kadłub „Brygady Makowskiego" budowano najdłużej, dziesięć miesięcy. Ale na ten statek wszedł Aleksander Makowski ze swoją brygadą najpóźniej.

Przypomina sobie nazwiska: Franciszek Fibrant, Paweł Nikrasiewicz, Paweł Czyżan, Mieczysław Gerke, Walenty Pawłowicz.

— To byli wszystko niterzy — tłumaczy — niterzy z mojej brygady. Do dziś się z nimi spotykam.

Tej brygady już dzisiaj nie ma i niemal zaniknął zawód okrętowego nitera. Współczesne statki mają konstrukcję spawaną. Ale w tamtych latach niter rozstrzygał o wszystkim. Jeden rudowęglowiec przyjmował w swój kadłub blisko trzysta tysięcy nitów. Liczyło się je zresztą nie na sztuki, a na tony.

— Ożeniłem się — powiada nagle Makowski — z matką chrzestną mojego statku. Była ekspedientką w sklepie, dwanaście lat temu wzięliśmy ślub. No i dochowałem się już pięcioletniego chłopca. Pewnie, że on niewiele jeszcze rozumie. Ale dałem mu któregoś dnia książkę ze swoim zdjęciem. To zdjęcie jest z wodowania. I powiedziałem do synka: schowaj to, bo może ci się kiedyś przyda. Jak mnie już nie będzie.

Taki już jest ten Aleksander Makowski, który od dwudziestu lat nie rozłączył się ze stocznią. I imał się różnych zajęć. Przy następnych rudowęglowcach pracował jako budowniczy, odpowiadał za wyposażenie kadłuba przy wodowaniu. Potem znowu nitował, przy „Lewantach", na bliskowschodnią linię. Dano mu później oddział konserwacyjno-remontowy — też umiał sobie poradzić, choć praca nie była lekka. Skrobanie rdzy, malowanie, betonowanie zbiorników. Przy wyposażaniu „Konopnickiej" cudem uniknęli śmierci, kiedy statek stanął w ogniu i nikt z ludzi pod pokładem nie zdążył się uratować. Ale oddział Makowskiego zakończył pracę na krótko przed pożarem.

— To — mówi Aleksander Makowski — bardzo wiąże. Najpierw związa mnie ze stocznią nazwa statku, mojego statku. A później praca, już tylko praca.

Że praca wiąże. przyznają nawet młodzi, którzy nitowanie statków znają tylko z opowieści, bo teraz nawet spawanie odbywa się automatycznie, a na pochylnię zajeżdżają gotowe, prefabrykowane elementy kadłubów. Ale i przemysł stoczniowy jest dziś przede wszystkim domeną ludzi młodych, którzy świadomie wybrali swój zawód, a wiedzę fachową wynieśli ze szkół. Tak mówi inżynier Daniel Czekaj, który pracuje teraz w szefostwie produkcji Stoczni Gdańskiej im. Lenina.

Pochodzi z Ostrowa Wielkopolskiego, ale na Wybrzeżu mieszka od piętnastego roku życia. Ciągnęło go zresztą morze, więc po ukończeniu szkoły podstawowej porozumiał się z rodzicami, spakował walizki i pojechał na egzamin do technikum budowy okrętów. A potem, już jako technik, wstąpił na Politechnikę Gdańską. Wiosną 1961 roku świeżo upieczony inżynier zameldował się w stoczni. Sądził, że wzorem swoich kolegów z innych wydziałów uczelni, będzie przez kilka miesięcy stażowych wycierał łokciami kurze w biurach administracji. Ale tu, w Gdańsku, praktyki były inne, a inżynier Czekaj trafił na szczególnie gorący okres. Angielskie czasopismo „Glasgow Herald Trade Review" zamieściło właśnie na swych łamach tabele produkcji okrętowej największych stoczni świata. Macierzysty zakład inżyniera Czekaja znalazł się w nich na piątym miejscu dzięki zwodowaniu 32 jednostek pełnomorskich o łącznym tonażu 207.200 TDW w ciągu jednego roku. Basen wyposażeniowy stoczni

ZDZISŁAW STRZĘPEK

Polska, rok 2000

Wróżby przydatne dla praktyki

Z niezmierną ciekawością zapewne obejrzelibyśmy kolorowy film pt. „Polska, rok 2 000". Wszyscy są ciekawi przyszłości swojej, swojego miasta, kraju, świata.

Drogą ekstrapolacji można tworzyć obrazy przyszłości. Przyszłości bliższej — bardzo dokładne. Ta za lat pięć — widoczna jest wyraźnie w założeniach planu gospodarczego. Gorzej, jeśli idzie o przyszłość odległą, choćby tę za lat 30. Ale futurologia to nie wizje przyszłości, astrologia, wróżby; to nauka, która ma za zadanie nie odgadywanie przyszłości, ale głównie przyczynianie się do jej rozumnego tworzenia.

Zwłaszcza wobec zagrożeń w obliczu których znalazł się człowiek. Poza bronią w rachubę wchodzi tu niszczenie środowiska przyrodniczego, zatrważające zanieczyszczenie powietrza i wód, dysproporcje między przyrostem ludzi a przyrostem żywności, ślepe działanie w sferze duchowej, które zuboża osobowość ludzką (mass culture), choroby cywilizacji, nieopatrzne zużywanie niektórych surowców itd.

Wiemy, że historia nie realizuje się według ślepego losu, woli bogów. Dotąd wprawdzie kształtował ją żywioł społeczny, walka — jak odkryli klasycy marksizmu, którzy jednocześnie stwierdzili, że człowiek może rozumnie kształtować swoją przyszłość, historię, a nie ciągle pędzić do przodu na oślep.

W całym świecie rozwijają się więc badania nad przyszłością. Działa wiele instytutów, towarzystw i wydawnictw. Rozwijają się różne kierunki futurologii, począwszy od najstarszego — przewidywań w zakresie ekonomii. Obecnie wielu pasjonuje przyszłość techniki, struktur społeczno-politycznych oraz rozwoju samego człowieka.

Od połowy zeszłego roku także w Polsce działa autentyczna placówka futurologiczna — Komitet Badań i Prognoz „Polska 2000". Powstał on przy Polskiej Akademii Nauk, jego przewodniczącym jest prof. dr Witold Nowacki wiceprezes PAN (znany w Łodzi również jako konstruktur naszej Hali Sportowej).

Komitet składa się z czterech komórek — Komisji Demografii, Struktury Przestrzennej i Spożycia pod kierunkiem prof. K. Secomskiego; Komisji Socjologicznej pod kierunkiem prof. J. Szczepańskiego; Komisji Oświaty i Kultury, kierowanej przez prof. B. Suchodolskiego oraz Komisji Surowców i ich ochrony na czele z prof. B. Krupińskim.

Pierwsza komisja zajmuje się prognozowaniem demograficznym na okres lat 1985—2000 z uwzględnieniem przemian w strukturze ludnościowej, między innymi zapotrzebowaniem na kadry wykwalifikowane i możliwościami jego pokrycia. Zespół ten zajmuje się również problemami przekształcenia struktury przestrzennej kraju do roku 2000 (z wyodrębnieniem etapu do 1985 r). Chodzi o zmiany w sieci osadniczej kraju, prognozy w zakresie procesów urbanizacyjnych, prognozy dotyczące tworzenia aglomeracji miejsko-przemysłowych, obszarów rekreacyjno-turystycznych, a także przemian w spożyciu oraz następstw skracania czasu pracy i wykorzystania czasu wolnego.

Komisja prof. J. Szczepańskiego, zajmuje się badaniami zmian w strukturze społecznej, funkcjonowaniem instytucji politycznych, społecznych, administracyjnych, przeobrażeniami w zakresie pracy. Zespół prof. B. Suchodolskiego ma za zadanie opracować prognozy w zakresie modelu kultury, upowszechniania nauki, propozycje zmian w zakresie systemu oświaty, celowego wychowania. Będą również prowadzone prace nad teoretyczną koncepcją „nowego człowieka", produktu przewidywanej rzeczywistości społecznej.

Komisja surowców i ich ochrony zajmuje się zagadnieniami rozumnego korzystania z zasobów przyrody, w tym zasobów mineralnych. Przedmiotem jej zainteresowania jest również zagadnienie surowców zastępczych.

Obok Komitetu „Polska 2000", prognozowaniem zajmuje się, i to od dawna, Komisja Planowania Gospodarczego przy Radzie Ministrów. Obecnie Komisja rozwinęła poważnie pracę nad stworzeniem ramowego programu rozwoju gospodarki do roku 1985. Poza tym działalność futurologiczną rozwija Komitet Nauki i Techniki. Programuje on, przy znacznym współudziale PAN, rozwój nauki i techniki w Polsce. Nasze badania szczególnie rozwinięte zostaną w zakresie elektroniki, petrochemii, chemii tworzyw sztucznych oraz automatyki.

Wiemy, że rozwój gospodarki, nauki, postępu technicznego i procesów społecznych wzajemnie się uzależniają i nie można — zgodnie zresztą z metodą dialektyczną badać i programować ich osobno. Wszystkie wspomniane instytucje pracują więc nad obrazem przyszłości kraju w sposób skorelowany, korzystając wzajem z wyników i wniosków.

Przy tym nie idzie tu o stworzenie obrazu Polski w owym cenzuralnym roku 2000, **ale głównie o wybór dróg, o praktykę, działanie zmierzające do uzyskania zarysowanego obrazu kraju.** Będą to więc często opracowania alternatywne, czasem w wielu wersjach, by w oparciu o nie sternicy nawy państwowej mogli wybierać optymalny wariant rozwojowy, najskuteczniejszy w naszym położeniu geograficznym, surowcowym i społecznym.

Tak więc dobrze zorganizowane prace futurologiczne mogą znacznie przyczynić się do przyspieszenia naszego rozwoju, zmniejszenia ewentualności błędnych decyzji gospodarczych, patrzenia na przyszłość nie z punktu dnia dzisiejszego, ale już poprzez pryzmat naukowo zarysowanego jej kształtu, np. gdy zdamy sobie sprawę jak będzie wyglądać wieś w przyszłości, choćby tylko urbanistycznie, za lat 30, to ustrzeżemy się wielu błędów, które możemy popełnić dziś. Mówiąc inaczej — ulice wielu naszych nowych osiedli już dziś są za ciasne, brak też tam garaży, parkingów itd. A co będzie za 20 lat? Czy będą to zakazane dla ruchu kołowego „starówki"?.

Stwierdzenia te dobitnie wskazują jak bardzo korzystne może być naukowe „wróżenie". Jest ono w pełni utylitarne. Nie chodzi nam o to — mówi prof. Nowacki — aby wsiąść w wehikuł czasu i nagle ujrzeć kraj nasz w roku 2000. Właśnie — nie chodzi o samą ciekawość, a science fiction, lecz przede wszystkim o rozumne kształtowanie nowoczesnego społeczeństwa polskiego, jego kultury materialnej i duchowej. O wykorzystanie jego talentu i możliwości, jego coraz wyższego przygotowania twórczego, a więc wykorzystanie tego co się ostatnio modnie zwie „brain storm" — burzą mózgów.

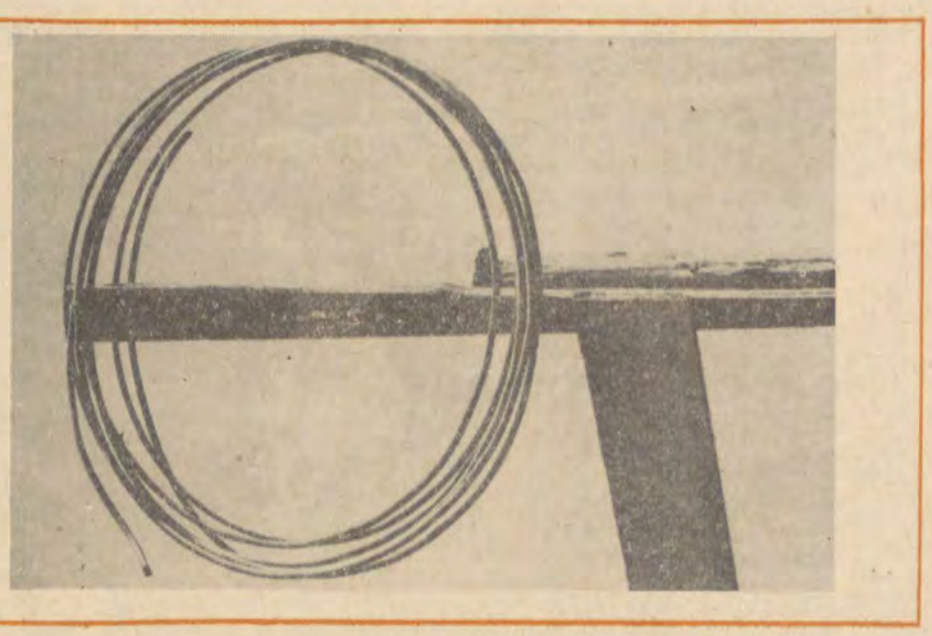

W ciągu powojennych 25 lat wydaliśmy na rozwój naszej gospodarki — licząc w cenach stałych — 2 biliony złotych. Z pięciolatki na pięciolatkę sumy te rosły lawinowo. Na następne pięciolecie mamy do dyspozycji 1 bilion 250 miliardów złotych. Przy takich sumach każdy błąd gospodarczy kosztować może ciężkie pieniądze. Miliardy te — zależnie od zadysponowania — różnie mogą nam zaprocentować. I to nie przez rok, dwa, lecz przez lat dziesiątki. Dlatego trzeba badać przyszłość, poznawać jej drogi, by nie błądzić, lub, prawidłowiej — mniej błądzić.

45 proc. ludzi żyjących dziś — zgodnie z tabelą wymieralności GUS — dożyje roku 2000. Praktycznie biorąc dotyczy to ludzi mających obecnie lat od zera do czterdziestki. Oni zresztą w dużej mierze będą tę przyszłość czynnie kształtować. Właśnie o ludziach, zjawiskach demograficznych, nasi futurolodzy mają już najwięcej do powiedzenia. Od dawna się nimi zajmują. Zresztą słusznie — społeczność jest wszak demiurgiem przyszłości.

Ile w roku 2000 Polska będzie liczyła ludności? Autorytet w tej dziedzinie dr. J. Holzer odpowiada: ca 40 milionów. Zatem tylko około 20 proc. więcej niż obecnie. W ostatnich latach przyrost naturalny stale u nas spada, w ub. r. wyniósł tylko 8,5 promille. I to dzięki wsi, gdyż w miastach jest bliski zeru lub jak np. w Warszawie i Łodzi — ujemny.

Zakłada się iż w przyszłości cała nadwyżka przyrostu będzie przechodziła ze wsi do miasta. Za 30 lat w miastach będzie żyło ponad 70 proc. Polaków, wobec 51 proc. obecnie. Zresztą przewidywane zmiany w urzadzeniu wsi będą tak znaczne, że właściwie podział na mieszkańców regionów miejskich i wiejskich straci swój sens. Zmieni się zabudowa wsi, sposób życia ludności, rozwiną się usługi, komunikacja indywidualna, warunki pracy i wypoczynku.

Prognozy demograficzne mówią jednocześnie iż około roku 2000 średnia długość życia wyniesie 80 lat. Wpłynie to oczywiście na wzrost liczby emerytów do około 6 milionów (obecnie mamy 3,5 mln). Jeżeli wiek emerytalny zostanie obniżony, liczba ta odpowiednio się zwiększy. Podobnie w sposób dość dokładny demografowie przewidują liczbę ludności w wieku przedszkolnym, szkolnym, produkcyjnym. I to w rozbiciu na poszczególne okresy.

W przyszłej 5-latce trzeba szykować miejsca dla 2 mln młodych ludzi, w kolejnej — 1,3 mln, ale w okresie lat 1980—85 zdolność produkcyjną osiągnie tylko 400 tys. osób. Będzie wielki niż. Trzeba zatem dużo wcześniej podjąć odpowiednie przedsięwzięcia gospodarcze. Podobnie jak i socjalne, w wypadku przedszkolaków czy emerytów.

O wiele trudniejszym do przewidywania jest zagadnienie spożycia w przyszłym społeczeństwie. Generalnie wiadomo — jak podkreśla prof. dr J. Szczepański — że po zorganizowaniu masowej, taniej produkcji, nastąpi masowa konsumpcja.

Jeśli idzie o żywność, to rolnictwo nasze, według przewidywań, za lat 30 będzie jej dostarczać co najmniej dwa razy więcej niż obecnie, co wobec 20 proc. wzrostu ludności spowoduje nadwyżkę żywności.

Szczególnie wzrośnie spożycie ryb, jaj i mięsa, zwłaszcza wołowiny i kurcząt. Odżywianie się będzie bardziej dostosowane do wieku i stanu organizmu.

---

zatłoczony był statkami czekającymi na wyjście w morze, a na pochyliach wznosiły się już kadłuby nowych jednostek.

— No i — uśmiecha się inżynier Czekaj — od razu poszedłem na statek. Jako budowniczy.

Statek nosił nazwę m/t „Profesor Huber". Tankowiec o nośności 19.000 TDW należał do klasy największych statków, jakie w tym czasie w ogóle budowano w Polsce. Już to mogło zaimponować młodemu człowiekowi, który liznął nieco praktycznej wiedzy w ramach studenckich praktyk.

Czekajowi w jego pierwszej samodzielnej pracy powierzono zbiorniki tankowca: było ich na statku ponad dwadzieścia połączonych w cztery niezależne grupy, aby mogły przyjąć różne rodzaje płynnego ładunku. Przez pierwsze dni Czekaj nadrabiał trochę miną, ale chyba dobrze wywiązał się ze swoich zadań, skoro w trzy miesiące później został kierownikiem budowy „Hubera". I musiał teraz pamiętać o wszystkim: o pompach przeładunkowych, ładunkowych i resztkowych; o urządzeniach radiokomunikacyjnych i elektronawigacyjnych, bo statek wyposażony był w radar, radionamiernik, żyrokompas i w dziesiątki innych urządzeń zapewniających bezpieczeństwo żeglugi.

W grudniu 1962 roku m/t „Profesor Huber" podniósł banderę i wypłynął w swój dziewiczy rejs na Morze Czarne. Czekaja zamustrowano na statek w charakterze inżyniera gwarancyjnego. Jeśli wszystkie urządzenia działają sprawnie, taki rejs jest krajoznawczą przejażdżką. Jeśli jednak w mechanizmach coś zacznie nawalać, inżynier gwarancyjny staje się zazwyczaj ofiarą załogi, bo marynarze potrafią wykłócać się o swoje prawa.

Rejs zaczął się pechowo. Przy wchodzeniu do jednego z norweskich portów statek dostał się w grube zwały lodowej kry. W takich warunkach łatwo o uszkodzenie śruby. Więc później wlekli się przez Morze Północne, aż na doku w Anglii śrubę wymieniono na nową. I wtedy m/t „Profesor Huber" pokazał, co potrafi tnąc wody Zatoki Biskajskiej z szybkością 16 węzłów. Czekaj nie nudził się. Obłożony w swojej kabinie instrukcjami udzielał wyjaśnień mechanikom okrętowym. Stawiali trudne zadania. Musiał przestawić główny silnik statku na ciężkie paliwo. Zajął się tym. Sześciocylindrowy silnik sulzerowski (polskiej produkcji) o mocy blisko 8000 KM pracował bez zakłóceń. Sprawdziła się także klimatyzacja statku, bo w przeciągu dwóch tygodni przebyli tyle stref klimatycznych, że różnica temperatury powietrza osiągnęła 60 stopni Celsjusza. W swoich kabinach tego nie odczuli.

— Lataliśmy tak — ciągnie Czekaj — prawie pół roku, przez cały gwarancyjny okres. Wchodziliśmy do Odessy i do Batumi, gdzie braliśmy mazut. Kiedy wróciliśmy na Bałtyk, w Polsce kończyła się właśnie wiosna. A dla mnie kończył się jeszcze jeden trudny rozdział nauki własnej. Takiej, za którą się świadectw nie dostaje.

Tu świadczy się zresztą zawsze. W stoczni nie ma spokojnych dni. Nawet najprzyjemniejszy, zdawałoby się, moment — wodowanie statku, inaczej wygląda w kalkulacjach budowniczych, a inaczej w oczach przypadkowych świadków z głębokiego lądu. Nastrój jest rzeczywiście podniosły: na nadbrzeżu gromadzą się tłumy, z mównicy padają uroczyste słowa, bryzga szampan i orkiestra gra „Mazurka Dąbrowskiego". Ogromna masa metalu, której żadnym dźwigiem nie można ruszyć z miejsca, posłusznie osuwa się na wodę.

Ale stoczniowiec wie, że gdyby kadłub, po zwolnieniu klinów nie posłuchał rozkazu, powtórzenie go nie byłoby już możliwe. Wtedy cichcem musiałaby przyjść brygada spawaczy, aby pociąć statek na złom. Podobny wypadek nie zdarzył się w ani jednej polskiej stoczni, choć w świecie ich nie brak. Jedna głupia śrubka przypadkowo zgubiona na torze, po którym ześlizguje się kadłub, może zniweczyć pracę wielu miesięcy, przemienić nową jednostkę w lądowy wrak.

Stoczniowiec wie także, że w momencie wodowania statek narażony jest na przełamanie. Kiedy woda wynosi już rufę do góry, ale dziób opiera się jeszcze o pochylnię, statek robi niebezpieczny obrót. I wtedy wiele może się zdarzyć.

— Dlatego właśnie — tłumaczy inżynier Czekaj — prawdziwie uroczysty moment przychodzi zupełnie kiedy indziej. Z chwilą przekazywania statku.

Przekazywanie następuje w „okręgu laku". Tak potocznie nazywa się w stoczni salę konferencyjną z okrągłym stołem, wokół którego rozsiada się komisja zdawczo-odbiorcza, liczne ciało specjalistów reprezentujących budowniczych i armatora. Pod koniec posiedzenia napięcie spada.

Potem następuje finał: uroczyste podniesienie bandery na przekazanym do eksploatacji statku. Jeśli ma on służyć zagranicznemu armatorowi flagi mijają się w drodze: biało-czerwoną opuszcza się na dół, a na maszt wjeżdża bandera kraju właściciela. Kapitan nowej jednostki zaprasza stoczniowców do messy, pod pokład. Pachnie tam najczęściej świeżą farbą, ale nikt nie zwraca na to uwagi. W stoczni nazywa się tę uroczystość: kielichem. Były już kielichy radzieckie, chińskie, brazylijskie, albańskie, szwajcarskie i norweskie. Były także kielichy polskie, bo chociaż większość statków eksportujemy, budujemy je także dla siebie.

I wreszcie, po tylu ceremoniach i rytuałach, stocznia rozstaje się ze zbudowanym przez siebie statkiem na zawsze. Do basenu wydziału prób wpływają trzy holowniki, aby wyprowadzić nową jednostkę na otwarte morze. Ludzie machają do siebie rękami, jak zawsze przy pożegnaniach, holowniki gwiżdżą, a potem uspokaja się fala, jaką statek uczynił swym odjazdem i na powierzchni basenu zastygają tłuste plamy oliwy.

W basenie wyposażeniowym stoczni kołyszą się gotowe statki, które przeszły już pierwsze morskie próby. I gdyby nie ten nieustanny łomot metalu, dolatujący na Ostrów zza kanału, gdzie na pochyliach montuje się kadłuby, można by pomyśleć, że rozległe tereny stoczni to nie ogromny zakład produkcyjny, zatrudniający siedemnaście tysięcy pracowników, tylko transatlantycki port. Wystarczy jednak odwrócić nieco głowę, żeby w dalszej części basenu zobaczyć surowe jeszcze statki, koloru rdzy i to portowe złudzenie mija bezpowrotnie.

Na dziedzińcu nie opodal dyrekcji wiszą plansze z sylwetkami typów statków budowanych aktualnie przez stocznię im. Lenina. Są na nich drobnicowce, chłodniowce, paragrafowce, masowce i statki rybackie: trawlery-przetwórnie i bazy-przetwórnie — te statki, które w przyszłości stanowić będą podstawę produkcji Gdańska, bo już w tej chwili jesteśmy światową potęgą w tej dziedzinie eksportu. Wie to w Gdańsku każdy, ale też w mieście nie trzeba pytać o drogę do stoczni. Jej pracujące dźwigi wystają ponad domami.

KONRAD FREJDLICH

ROMAN ŁOBODA

Porty atramentowe

Pragnienie łuną w niebo uderza
na dnie kielicha Twój zapach śpi
port w rozbłyśnieniu tym spięty stoi
latarni śniegiem i mostu broszą

Pomarańczowe znicze w oddali
czarne przypływy statek unoszą
w inkrustowane świateł gamami
atramentowe Twych listów niebo

Dźwig pochylony nad dniem zbudzonym
syrena wyje cień Twój nad redą
tak się powoli dalą zbliżamy
że cumowanie jak rozkosz boli

Ballada i romans

Spod włosiennicy
piersi wystają
ają

Bezwstydna dziewko
tą włosiennicą
okryj to drzewko drżące
ące

Idą fornale i kapucyni, fryzjerzy i służące
Okryj to drżące
pod którym stoję
dziewko ach okryj

A więc okryła
okryła całe
od głów do stóp
swą włosiennicą twardą
ardą

U stóp
mam ziemię
na ziemi ja sam
a na mnie derka plugawa
awa

przy mnie krzewina
cała rozkwitła kwieciem
jak ja sam

Stoją fornale i kapucyni fryzjerzy i służące
Wzrok odwrócili od dziewki całej
nagiej i rzewnie płaczącej

tylko zajęci płomieniem drzewka
z imaginacji mojej
ojej

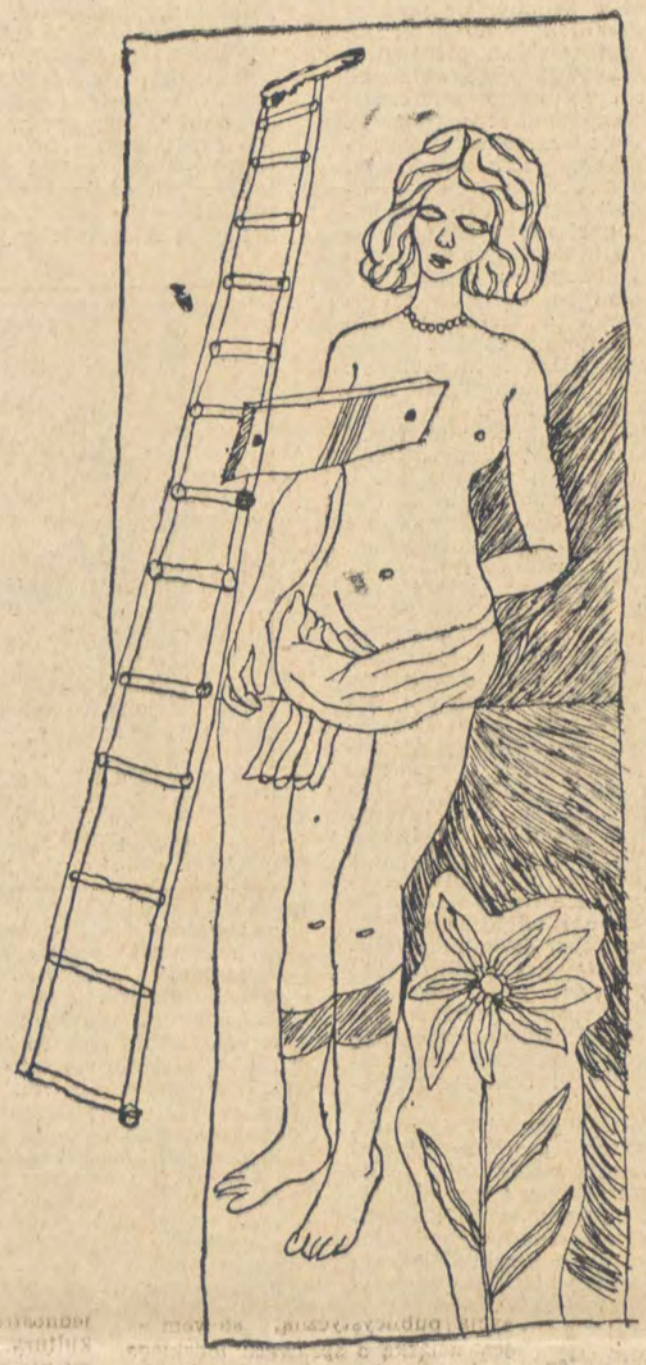

Rys. E. Inglot

ALEKSANDER NIKOŁAJEW

★
★ ★

Z zaułka głosy jak z mroku gwiazdy
wynurzają się nagle z przypływu ciszy.

Dwa okna poddasza
jak z niszy
nadstawiają uszu i wsłuchują się w miasto.

I o tym nawet jak spotkania nasze
czule pieściły dłonie
wiedzą te dwa okienka poddasza,
które nas podsłuchują z gwiazdami przy skroni.

Przełożył z rosyjskiego: WASYL KOCZNOW

EDWARDAS MIEŻELAITIS

W dolinie Adama Mickiewicza w Kownie

Niech nurtom Girstupisu powie
cichy szept drzew późną jesienią:
— „Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie"
— Litwo, czerpię swą moc z tej ziemi.
Stary dąb wolno gubi żółte liście,
Opadają jak dnie, tygodnie,
Miesiące, lata, aż czas się ziści.
Zna los swój rzeka, dąb kamień przydrożny.
Tu umierają źródła Girstupisa
I dąb usycha i kruszy się granit,
Twardsze od kamieni zostaje słowo
Wielkiego barda i wieczna pamięć.
Niech nurtom Girstupisu powie
cichy szept drzew późną jesienią:
— „Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie"
— Litwo, we mnie jest moc życiodajnej ziemi.

Przełożył: JERZY LAU

ZENON RUDNICKI

Joachim Knappe w Polsce

Niedawno bawił w Polsce Joachim Knappe, pisarz niemiecki. Zwiedził ośrodki kultury w Warszawie, Krakowie i Łodzi. Był w naszym kraju po raz pierwszy, chociaż sprawami polskimi interesuje się od dawna. Wypadnie więc i nam dowiedzieć się czegoś bliższego o tym prozaiku o drobnych rysach twarzy, żywych oczach, smukłej sylwetce. Ujmuje każdego swoją skromnością, swoim powolnym i ostrożnym wyrażaniem myśli, paląc przy tym niezły tytoń w dobrej fajce ze skórzanym ustnikiem.

Joachim Knappe ma obecnie 41 lat. Jest synem inżyniera. Sam kształcił się w zawodzie elektrotechnicznym. Edukację przerywa dłuższa choroba. Następnie podejmuje prace w różnych zawodach. W 1956 zostaje skierowany na studia w Instytucie Literatury im. Johannesa R. Bechera w Lipsku mając w swoim dorobku liczne publikacje we wszystkich gatunkach literackich. Po studiach jest redaktorem gazety przyzakładowej, pisząc jednocześnie swoją pierwszą powieść „Bittere Wurzeln" („Gorzkie korzenie"), która ukazuje się w 1961. Wypływa wraz z nią na szerokie wody literatury NRD. W utworze tym zajmuje się głównie rozwojem jednostki w nowej rzeczywistości, jaka nastąpiła po 1945 roku w Niemczech. Po tej zwycięskiej próbie ogniowej publikuje w 1965 roku następną powieść: „Mein namenloses Land" („Mój bezimienny kraj"), która przynosi pisarzowi szeroki rozgłos i nagrodę literacką. W powieści tej przedstawia konflikty młodego człowieka poszukującego swego miejsca w skomplikowanych czasach połowy naszego wieku.

Po tym sukcesie przystępuje do jeszcze bardziej ambitnego dzieła, do trylogii: „Die Birke da oben" („Brzoza na wzgórzu") której pierwszy tom już się ukazał, dwa dalsze czekają na swego wydawcę.

W całej dotychczasowej twórczości przyświeca pisarzowi pragnienie udzielenia odpowiedzi na wiecznie zasadnicze pytanie: skąd pochodzę i dokąd zmierzam?

Poniższy fragment z drugiego tomu trylogii (wybór i przekład autora artykułu) z podtytułem: „Frauen ohne Manner" („Kobiety bez mężczyzn") jest pierwszym przekładem na język polski. Fragment ten stanowi niejako syntezę problematyki zawartej w tej części dzieła i daje zarazem próbkę twórczości literackiej Joachima Knappe.

★
★ ★

Kiedy Runewski od niej odszedł, nie myślała o tym w jaki sposób potoczą się sprawy. Przez pierwsze dni była zupełnie obojętna. Przypadkowe spotkania z Runewskim kwitowała po prostu niedostrzeganiem go. Sprawiało jej nawet zadowolenie, że mogła go nie dostrzegać. Upodobniła się do warownej twierdzy, która stała bardzo wysoko na skalnym zboczu w samym środku pod prażącym słońcem, w samym środku pod wysokim sklepieniem nieba, pozornie nieosiągalna. Później przestała wyglądać tak niedostępnie. Mury stopniowo popękały, jak gdyby rzeczywiście były z prastarych kamieni. Z czasem chwile przekształcały się w wieczność. Dłużej nie mogła tego znieść. Ostrożnie schodziła ze skał i czekała. Czekała na to, aby Runewski przyszedł po nią, aby postąpił tak, jak czynił zwykle, gdy rozchodzili się z jakiegoś powodu. Tym razem nie przyszedł po nią. Nie sprowadził jej z nieosiągalnych wyżyn. Nie wyszedł nawet naprzeciw. Czekała nadal. Teraz już bez wyniosłego uśmiechu absolutnej zwycięzczyni.

Zaczęła go szukać wśród wrzawy zapijaczonych mężczyzn, którzy natychmiast, gdy tylko weszła do lokalu, obmacywali lepkim wzrokiem jej sylwetkę, jak gdyby była naga. Lenka znała te spojrzenia dobrze.

Wskazówka zegara dworcowego podskoczyła nerwowo na jedenastą. Lenka była w czterech czy pięciu knajpach, krótko, tylko po to, aby sprawdzić, czy go tam nie ma. Nie znalazła go. Była też w piwiarni Wehnerta, gdzie Runewski wcześniej należał do stałych bywalców. Tutaj zatrzymała się dłużej. Barman poznał ją, zamówiła więc koniak i piwo. Potem niepostrzeżenie znikła i pobiegła na dworzec.

W poczekalni, gdzie panował wieczny półmrok, szczęśliwie znalazła wolny stolik. Miała szczęście, gdyż o tej porze trudno było o wolne miejsce. Siedziała w gwarze, półmroku i wmawiała w siebie, że wszystko jest skończone.

Gdy spojrzała przed siebie, nieco nad głowami siedzących podróżnych i pijaków, wzrok jej utkwił w zegarze wiszącym za oknem nad peronem. Zegar był duży, oświetlony silną żarówką za matową szybą. Za każdym razem, kiedy podnosiła wzrok, wskazówka posuwała się tylko o drobny wycinek tarczy. Ta regularność irytowała ją. Chciała przechytrzyć zegar. Nie podnosiła głowy przez dłuższą chwilę, lecz nagle podniosła ją znowu: było zaledwie kilka minut po jedenastej i tak pozostało.

— Chyba Runewski nie ożeni się ze mną wcale. Jego żona mówiła już z pewnością setki razy, że się z nim rozwiedzie, jednak nie uczyni tego. Ma stanowczo za mało odwagi, aby to uczynić. Podszyta jest ogromnym strachem ta wspaniała Maria, ale wypełniona zadowoleniem, że ma mężczyznę. A każda, która nie ma mężczyzny, nie może być zadowolona. Większość kobiet nie zazna tego uczucia. Nie mają swoich mężczyzn. I nie będą miały. Nigdy. Ten towar skurczył się. Pozostał liczbą w podręczniku do historii. Sto tysięcy istnień ludzkich streściło się do jednej liczby. Gdybym miała pójść raz jeszcze do szkoły, nie nauczyłabym się żadnej liczby na pamięć. Po prostu odmówiłabym. A gdyby nauczyciel podpowiedział mi tę liczbę, zasłoniłabym szczelnie uszy dłońmi. Gdyby mnie zwymyślał, nie przerywałabym mu. Krzycz. Krzycz dalej!

— Lenko! Dlaczego nie od powiadasz? Ile istnień ludzkich padło ofiarą drugiej wojny światowej? Lenko! Wiesz, prawda? Wiesz przecież. Nauczyłaś się. Nauczyłaś się tej liczby na pamięć. To było twoim zadaniem do mowym. A więc ile?

— Krzycz, krzycz. Nic mnie to nie obchodzi. Krzycz nawet tak głośno, żeby ludzie słyszeli na ulicy, że tutaj jest lekcja historii.

— Powiedz, Lenko! Powiedz! Powiedz pięćdziesiąt milionów! Czy to tak trudno? A więc ile?

— Mój ojciec — powiem. Ale to jest tylko jedno istnienie, które tobie nie wystarczy. Jedno jedyne dla ciebie za mało. Dla mnie aż za wiele. Wiem oczywiście jeszcze o jednym mężczyźnie. Naturalnie. Był moją młodzieńczą miłością. Czy wiesz, co to jest? Nie wykrzywiaj ust tylko dlatego, że w podręczniku do historii nic się o tym nie mówi. Młodzieńcza miłość. Co to jest? Nie wiesz. Nikt nie wie. Siadaj historyku, wiesz za mało. Młodzieńcza miłość to takie zupełnie lekkie muśnięcie ręką, a ty stajesz cały w ogniu. Od środka. Siadasz na oknie i śpiewasz. Głośno śpiewasz. Przechodnie słyszą cię. Nie, to nie lekcja historii. To była młodzieńcza miłość. Padł także. Tak, tobie on również jeszcze nie wystarczy. Ty chcesz liczb! Liczb! Nie powiem żadnej. Nie nauczę się żadnej. Możesz krzyczeć ile ci się podoba.

— Pięćdziesiąt milionów, Lenko! Przecież tak łatwo zapamiętać! Ale ty tego nie pojmujesz. Lenko, siadaj, jesteś beznadziejna.

— Tak. Jestem bez nadziei.

— Koniak, panie starszy podwójny — pomyślała wlepiła oczy w zegar nie zauważając, że to tylko zegar.

STANISŁAW KASZYŃSKI

Urocze przygody pana Horacego

Ta książeczka*) musiała powstać, po prostu jako opus necessarium. Czekałem na nią od dawna, trafnie przypuszczałem, że wcześniej czy później wyskoczy z kopczyka wspomnień autora tylu utworów, które wielu już czytelników rozradowały serdecznie czy wprowadziły w nastrój pogodnej zadumy. Rodowód tych dwustu z okładem kartek nie jest tajemnicą dla nikogo, kto choć raz, nieważne gdzie i z jakiego powodu spotkał się z Panem Horacym. Zanim swe barwne opowieści spisał, sypał nimi jak z rękawa, przepowiadał je fragmentami ochoczo, ze znamienną, rzekłbym, safrinowską melancholijną ironią, która wyrasta z pobłażliwości dla szaleństw i głupoty. Mądrość, ciągniona z książek i z życia pospołu, uzewnętrznia się, nie jest to odkryciem, rozmaicie: kaznodziejsko-patetycznie, dręczycielsko-arbitralnie, filuternie-błazeńsko, czy wręcz nudnawo; ta ostatnia postać, uprawiana wytrwale przez domorosłych filozofów o zacięciu besserwisserskim, jest nad wyraz dokuczliwa. Nasz autor wynalazł jeszcze inny rodzaj przekazu, nie potrafię dokładnie go oznaczyć, lecz kojarzy mi się z poufnym monologiem starego, wypróbowanego przyjaciela, który wiele doświadczył i przemyślał w życiu, i nie sposób mu nie ufać.

Chciałoby się ściśle opisać tę krainę, z której pochodzi Pan Horacy. Taki opis jest jednak trudny. Chodzi bowiem o odległą prowincję, przesuniętą tak daleko w czas przeszły, że dzisiaj może budzić wątpliwość nawet myśl, czy kiedykolwiek istniała, czy nie jest czasem projekcją wyobraźni. Czysta egzotyka, nie mieszcząca się w skali doświadczeń ludzi młodych, przybliżyć ją potrafi jedynie dobry przewodnik, właśnie taka książka. Pan Horacy, Europejczyk całą gębą, z ducha, z poglądów a nie tylko z wojaży, objawia się tutaj jako narrator ziemi i ludzi już nie istniejących, wymazanych w większości z teraźniejszości. Niedawna historia podpowiada, co się na tym terytorium zdarzyło, niemal wszystko obróciło się w popiół. Cóż może wobec tego ostać się, jeśli nie diament wspominków jedynie, przeświecający bezpowrotnie minione. To niech wystarczy za początek opisu, ciąg dalszy odsłoni lektura.

Całość składa się z sześciu fragmentów czy wycinków o charakterze biograficznym. Nie są to w dosłownym znaczeniu partie życiorysowe, ele menty autobiografii przechodzą w kronikę rodzinną lub sąsiedzką, jej znów odcinki wplatają się w historię miejsc, w których autor spędził dzieciństwo i młodość — wśród nich pyszne realia wiedeńskie — cała natomiast relacja, niejednorodna tematycznie i pozbawiona w zasadzie pedanterii chronologii, okraszona została przednią omastą dowcipu, aforyzmu, plotki obyczajowej i towarzyskiej. Mnóstwo tu rozmaitych informacji i nieznanych raczej dotąd szczegółów, rozszerzających i cudze biografie, jak choćby spotkania w domu rodzinnym autora z poetą Iwanem Franko, jak kapitalne detale do życiorysu wielkiego aktora A. Granacha, o których zapewne nie wiedzą najskrupulatniejsi historycy teatru niemieckiego. A już nie ma co mówić, jaką przysługę oddał Pan Horacy przyszłemu magistrantowi, który zabierze się do dysertacji na temat hochsafrinowskiej twórczości. Jest to w gruncie rzeczy twór gawędziarza, który nie dba o porządek fabularny, nie sprawdza podanych informacji (np. nieprawdą jest, że B. Dawison „zakotwiczył się" na stałe w Burgteatrze, był tam zaledwie kilka lat, s. 175), nie troszczy się również nadmiernie o początek i koniec relacji, ale dość dowolnie i misternie operuje składnikami opowieści, ceniąc nade wszystko dygresję i smakując pointę. Szczególnie, jak mi się wydaje, ceni pointę, w czym demaskuje się po trosze jako rasowy fraszko- i bajkopisarz, a co może też zdradzać inklinację do swoistego moralizowania, rzecz oczywista, bez rygoru i namaszczenia ambony czy mównicy. Nie bez przyczyny, chociaż intencja jest przekorna, czytamy na wstępie dywagacje o prawdzie, która, jak zapewnia autor, jest sprawą mocno kłopotliwą, ponieważ diablo ciężko ją udowodnić, każdy może mieć rację. Nie to jest wszak że istotne, lecz ten moral o prawdzie wolno przecież od nosić do niejednej historii, są dzę nawet, iż uwagi o względności określają ogólną postawę pisarza wobec faktów i ludzi. Nie narusza jednak takie spojrzenie wiarygodności opowiedzianych zdarzeń w ich życiowo-anegdotycznej warstwie. Są tutaj poprzerywane ciągi losów ludzkich, uchwycone z reguły w sytuacjach błahych i zwyczajnych, na miarę żywotów mieszkańców tamtych miasteczek, gdzie kłębiły się namiętności kilku narodowości, gdzie zachodziły konflikty kultur i cywilizacji. Obraz tych staré i antagonizmów, przepuszczony przez filtr wyrozumiałej pamięci, został wytrzebiony z zadziorności, mniej jest ostry niż był prawdopodobnie w ówczesnej rzeczywistości. Mimo retuszów, w pełni usprawiedliwionych rodzajem książki, widać wcale wyraźne ścieranie się różnych mentalności, postaw, obyczajów, mamy jak na dłoni kipiący tygiel animozji, uprzedzeń, buńczucznej odrębności narodowościowej czy kulturowej i religijnej. Przeciwstawne interesy społeczne, polityczne i narodowościowe opóźniały, czy raczej uniemożliwiały procesy intergracyjne; któż miał prawo przeprowadzać asymilację? Pan Horacy jest bardzo wymownym przykładem i produktem tej zróżnicowanej formacji, formacji już historycznej, ukształtowanym na styku egzystencji trzech co najmniej narodów (Polaków, Żydów i Ukraińców). Ilustracją nie jedyną, lecz charakterystyczną, jest jego znajomość kilku języków, na tyle aktywna znajomość, iż mógł, i chyba może nadal, wypowiadać się w nich biegle, słowem i pismem.

Nie wiem dokładnie, o jakim to obszarze b. monarchii naddunajskiej pisał T. Mann w „Czarodziejskiej górze", gdzie rodzili się tuzinami genialni artyści, lecz to gdzieś w okolicach naszego autora. Fraszka geniusze, wystarczy nam jeden „z Galicji jednak rodem", czyli ze Stanisławowa, czyli, zawierzając autorowi, z najpiękniejszego miasta świata. Musiały tam być pszenne gleby, skoro wydały tylu znakomitych i prawdziwych ludzi. Mniejsza o ich zasługi, w każdej encyklopedii o nich głośno, ważniejsze, że przynajmniej niektórzy z nich, jak Pan Horacy, odznaczyli się darem najcenniejszym, coraz rzadszym: darem pogodnej wyrozumiałości, wedle której każdy człowiek pisze się przez wielkie C.

Nie cytuję żadnej z wielu wspaniałych dykteryjek, bo przepisując, wyłamałbym ją z kontekstu, wyrwał z niepowtarzalnego klimatu, którym od dycha ta książeczka. Niedźwiedzia to przysługa popsuć Państwu lekturę, kłopot w tym, czy jeszcze można będzie nabyć te stronice.

*) Horacy Safrin, Ucieszne i osobliwe historie mego życia. Łódź 1970 (Wydawnictwo Łódzkie) s. 239, cena 15 zł.

JERZY WILMAŃSKI

Książka o teatrze

Mało mieliśmy — jak dotąd — książek o łódzkich teatrach i były to z reguły prace syntetyczno-historyczne, podsumowujące jakiś mniej więcej zamknięty okres. Po raz pierwszy natomiast, Wydawnictwo Łódzkie wypuściło na rynek księgarski tego właśnie typu publikację co „Sceny wielkie i średnie" Marka Wawrzkiewicza. Jest to zbiór felietonów dokumentujących sceniczne realizacje łódzkich teatrów na przestrzeni lat 1966—1968.

Myślę, że podtytuł książki — felietony teatralne — dobrze określa zawartość tej 130-stronicowej publikacji. Wawrzkiewicz nie ogranicza się bowiem do zarejestrowania wrażeń z tych trzydziestu spektakli, o których pisze, nie ogranicza się do bardziej lub mniej zdawkowego pokwitowania kreacji aktorskich czy koncepcji reżysera. Gdyby zresztą tak było — książka także miałaby sens jako dokument, jako swego rodzaju dziennikarski katalog teatralnych wydarzeń.

Ale Wawrzkiewicz nie chce być i nie jest tylko recenzentem. Wawrzkiewicz jest publicystą i omówienia konkretnych spektakli poszerza o uwagi na temat polityki repertuarowej, o rozważania na temat teatru dla dzieci, o refleksje na temat specyfiki musicalu... Dzięki tym właśnie publicystycznym wtrętom książka zyskuje na oddechu — staje się żywą pozycją publicystyczną; słowem — jest książką o sprawach łódzkiego teatru, a nie tylko katalogiem trzydziestu spektakli.

Odnoszę nawet wrażenie, że Wawrzkiewicza interesują w większym stopniu mechanizmy działania i oddziaływania teatru w ogóle — niż spełnienie takiej czy innej reżyserskiej koncepcji czy aktorskiej kreacji. Jako publicystę bardziej interesują go „społeczne skutki" teatru.

Pisze przecież Wawrzkiewicz: „Żywotność sztuki mierzy się tym, w jakim stopniu jest ona potrzebna społeczeństwu, publiczności. To publiczność dyktuje styl i modę. To społeczeństwo decyduje, jaka sztuka i jaki jej rodzaj jest potrzebny. I właśnie społeczeństwo — niezmiennie, od wieków głosuje „za". I pisze dalej: „A więc — żywy jest teatr walczący, zaangażowany. Żywy jest ten, którego potrzebuje społeczeństwo, bo to publiczność ożywia teatr. Ale nie tylko. Byłby to stosunek uproszczony, jednostronny.. Uczy nas historia kultury, że bardzo często przedstawienia teatralne były rodzajem ładunku dynamitu, że często bywały ważnym ogniwem w łańcuchu przemian społecznych. A więc teatr służy nie tylko w ten sposób, że wyraża ideę, którą społeczeństwo żyje. Teatr pokazuje zaułki tych idei, staje się nauczycielem społeczeństwa, czasami jego sumieniem".

Pisze zatem Wawrzkiewicz nie tylko o teatrze „jaki jest" — lecz o teatrze „jaki powinien być". W owym interwale między „jest" a „powinien" znajdują się nieraz gorzkie słowa, krytyczne sądy i negatywne oceny. Może się ktoś z tymi ocenami nie zgadzać — publicysta ma prawo do subiektywizmu — ale pasja, zaangażowanie, polemiczny nerw autora — czynią ze „Scen wielkich i średnich" książkę żywą, nieobojętną.

Na koniec kilka słów pod adresem wydawcy. Bardzo dobrze, że ukazują się tego rodzaju książki, dokumentujące dokonania i wydarzenia w sferze łódzkiej kultury. Są to bowiem książki potrzebne na dziś i na jutro. Szkoda tylko, że książki Wawrzkiewicza nie zaopatrzono w indeks nazwisk co niewątpliwie podniosłoby jej dokumentacyjne walory. Tego rodzaju publikacje — eseje, pamiętniki, wspomnienia — po prostu wymagają indeksu, bo przecież są to książki nie do poduszki, nie do jednorazowej lektury, ale pisane po to, aby do nich wracać.

Marek Wawrzkiewicz: „Sceny wielkie i średnie", Wydawnictwo Łódzkie 1970.

Przeszłość i teraźniejszość

O publicystyce historycznej

Co dzieje się u nas w świecie publicystyki historycznej? Skoro Jan Górski określa się mianem „publicysty historycznego" i zaznacza, że pisze o sprawach przeszłości „ze stanowiska publicysty, a więc nie ze stanowiska badacza zawodowego i nie ze stanowiska popularyzatora", mamy prawo sądzić, że przynajmniej to, co z jego podpisem pojawia się na łamach czasopism jest ową historyczną publicystyką, różniącą się zasadniczo zarówno od naukowego pisarstwa historycznego, jak i od popularyzacji historii. Bardziej wnikliwy ogląd naszego współczesnego piśmiennictwa uświadomi nam prawdę niewątpliwą, że ten tak drogi Janowi Górskiemu rodzaj pisarstwa pociągnął wcale sporą liczbę piór i że często wypowiadają się w nim pisarze i uczeni, którym bliskie są sprawy współczesności i którzy dążą do skruszenia barier, dzielących naukę historyczną od szerokich kręgów potencjalnych czytelników. Cóż bowiem innego, jeśli nie publicystykę historyczną uprawiał na marginesie swej działalności naukowej Konstanty Grzybowski?

Oglądany obraz zmienia się wraz ze zmianą perspektywy. Z perspektywy tedy ostatnich lat kilkunastu zdawać by się mogło, że publicystyka historyczna jest tworem na wskroś współczesnym. Nic bardziej fałszywego! Nie narodziła się ona u nas, ale jedynie odrodziła się u progu drugiej połowy lat pięćdziesiątych, a to, że stało się to właśnie wtedy, nie było oczywiście dziełem przypadku. Głębokie przemiany, jakie nastąpiły wówczas w naszym życiu politycznym i kulturalnym, stworzyły warunki dla odrodzenia się także i tego rodzaju piśmiennictwa.

Potrzeba publicystyki historycznej wynika z tego, że nie istnieje ostra granica między przeszłością i teraźniejszością, a tej ostatniej nie przysługuje bynajmniej przywilej samowytłumaczalności. Nie trzeba nawet badań naukowych aby się przekonać, że przeszłość — jak powiada J. Górski — jest „wśród nas obecna i przedmiotem dyskusji nie jest sama obecność przeszłości, ale jej wizja, to, co z przeszłości wybieramy, to, co ze zdarzeń przeszłych zajmuje miejsce w naszym życiu współczesnym". Nasze myślenie o współczesności jest tedy siłą rzeczy tak że myśleniem o przeszłości i odwrotnie: myślenie o przeszłości nie jest autonomiczne w stosunku do naszego oglądu teraźniejszości. Jeden z najwybitniejszych historyków francuskich naszego stulecia z rozwagą podkreślał: „żadne przeszłe sprawy — nawet takie jak wierzenia, które zniknęły nie pozostawiając żadnego śladu, jak poronione formy społeczne, martwe techniki — sprawy nie mające już, zdawałoby się, żadnego wpływu na chwilę obecną, nie mogą być uważane za zbędne do jej zrozumienia. Mniemanie takie oznaczałoby zapomnienie o tym, że nie ma prawdziwego poznania bez pewnej skali porównawczej, pod warunkiem co prawda, że porównanie dotyczy zjawisk różnorodnych a zarazem pokrewnych".

Publicysta historyczny spogląda na przeszłość z perspektywy współczesności. „Śledzić przeszłość w teraźniejszości — powiada Jan Górski — jest zajęciem uprawianym, może trudniejszym, może poznawczo bardziej wartościowym, niż śledzić przeszłość samą". Zbyt wiele być może w tym zdaniu optymizmu, ale i niemało prawdy. Nie wiem, czy uprawianie historycznej publicystyki jest cenniejsze, niż uprawianie nauki historycznej, jest jednak niewątpliwie czymś odmiennym. Podczas gdy uczonemu chodzi o poznanie przeszłości dla niej samej, publicysta interesuje się tym co minione dla tego, co teraźniejsze. Historyczny publicysta nie jest — jeżeli oczywiście ambitnie uprawia swoje rzemiosło — i nie może być felietonowym opowiadaczem facecji, nawet tych najzabawniejszych. Interesują go nie tyle rzeczy dziwne i ciekawe, ile rzeczy i sprawy ważne, a więc kontrowersyjne...

„Dokonała się u nas w ostatnich latach duża przemiana w patrzeniu na przeszłość Polski — pisze Jan Górski w przedmowie do swej pięknej książki „Dylematy i tradycje" (1969). — W większym stopniu widzimy dziś czas teraźniejszy jako kontynuację dawnej historii, a te rozdziały i wątki, które prowadziły w uliczki ślepe i tragiczne, staramy się przede wszystkim pojąć i zrozumieć. Historia Polski przestała być w takiej perspektywie historią odmieńców i dziwolągów, przestała być przedmiotem samobiczowania. Głębsze zrozumienie motywów działań zwężać się zdaje zakres kompleksów i nieporozumień, oddziałuje bardziej krzepiąco na społeczne samopoczucie". Przeszłość nasza słusznie przestała być przedmiotem samobiczowania, ale nie powinna być też i przedmiotem samouwielbienia, równie niebezpiecznego poznawczo i społecznie. I jedno i drugie uniemożliwia bowiem jej pełne zrozumienie, a zatem wiedzie do niezrozumienia teraźniejszości. Poszukiwanie współczesnego oglądu teraźniejszości w perspektywie nowoczesnego historyzmu oznacza bowiem protest przeciwko wszelkiemu mitotwórstwu: i temu ultrapesymistycznemu, i temu hurra optymistycznemu.

Historia nie jest zbiornicą przykładów bez liku dla każdorazowej potrzeby współczesności. Tak właśnie traktowano ją niegdyś. Nie jest ona nauczycielką życia — jak to głosił Cycero — w tym sensie, w jakim odczytywano go przez wieki całe. Nie dostarcza gotowych wzorców i recept. Jeżeli czegoś uczy, to pomaga w zrozumieniu tego co było i tego co jest, pomaga wykryć hamulce i motory teraźniejszości i dla tego nie jest obojętna dla każdego, komu bliskie są sprawy naszego wspólnego jutra.

JÓZEF GRZELAK

P. S. Wyczerpałem mój limit wierszy, nim zdołałem przejść do omówienia książki Jana Górskiego „Dylematy i tradycje". Odłożyć je więc trzeba do innego felietonu.

ZDZISŁAW PIZON

Twórczość Eugenii Skwarczewskiej

W Salonie Sztuki Współczesnej ma miejsce retrospektywna wystawa malarstwa Eugenii Skwarczewskiej. Wszystko cokolwiek można powiedzieć o tej artystce i jej artyźmie odnosi się do pojęcia wierności, kontynuacji raz uświadomionych koncepcji. Wszędzie, w każdym z kręgów tematycznych, w których się porusza i w każdym obrazie z osobna, daje się odczytać jej edukację artystyczną. Pierwszy kontakt Skwarczewskiej ze sztuką nastąpił w petersburskiej Wyższej Szkole Architektury, ale dopiero po wielu latach pracy w zawodzie architekta i wolontarialnym uprawianiu malarstwa, zetknąwszy się z urzekającą osobowością Ferdynanda Ruszczyca i ulegając jego zachętom wstąpiła na Wydział Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Stefana Batorego w Wilnie. Tam nauki pobierała zarówno u Ruszczyca jak i Ludomira Ślendzińskiego. W owym czasie, w latach dwudziestych i trzydziestych, Wilno przeżywało rozkwit kulturalny — na uniwersytecie i w gronie Wileńskiego Towarzystwa Artystów Plastyków zarejestrowane zostały — oprócz dwóch wyżej wspomnianych — takie nazwiska jak: Tymon Niesiołowski, Bronisław Jamontt, Jerzy Hoppen, Felicjan Szczęsny Kowarski i inni.

Skwarczewska w 1932 roku zdobywa drugi już dyplom i od tej chwili zawodowo poświęca się sztuce. Wystawia w Wilnie, Warszawie, Poznaniu. Maluje wielkie przestrzennie pasei- styczne obrazy o tematyce historycznej, arkadyjskiej, religijnej (np. „Święty Andrzej Bobola", obraz ołtarza głównego katedry w Drohiczynie, zachowany do dziś), a także bardziej już osobiste weduty Wilna, studia pejzażu, wnętrz, martwych natur i portretów. Demonstruje więc, często z nieuzasadnionych malarsko powodów, szeroki wachlarz tematyczny, który dopiero po wojnie artystka ścieśnia. Osiada w Łodzi. Aktywnie współuczestniczy w wystawach warszawskiej Zachęty i plenerach artystycznych. Mimo poważnego już wieku i dotkliwego braku warunków do tworzenia (brak pracowni) ów naoczny świadek niegdysiejszych zdarzeń i namiętności kulturalnych nadal pracuje twórczo.

W zaprezentowanych obrazach pochodzących przecież z różnych lat (kilka małych formatów udało się autorce wywieźć z Wilna) daje się zauważyć pewna tożsamość. Nie ma w nich zdecydowanych wahań, znaczącego postępu lub dotkliwych zwichnięć. Strukturalnie wszystkie są jednakie. Mimo różnic w zawsze delikatnym klimacie i pewnych stylizacji przyrastają do siebie i wzajemnie się dopełniają. Jedno dokonanie determinuje następne, jeden akt twórczy rodzi dalszy o jednakowej morfologii. Tak powstał w ramach poszczególnego rodzaju — portretu, pejzażu, martwych natur, wnętrz — zespół przedstawień o jednolitym brzmieniu. Zwłaszcza tektonika portretów wykonanych starannie przy użyciu drobiazgowo gładkiej faktury malarskiej daje świadectwo architektonicznego wykształcenia autorki, wpływu Ślendzińskiego i jasności zamierzeń twórczych.

Budowanie obrazu zaczyna jakby od środka portretowanej osoby i jest raczej uciążliwym wznoszeniem rzeczywistości przedmiotowej niż wirtuozowską rejestracją faktów. Dlatego też końcowy efekt ma cechy bardzo materialne — postacie odznaczają się rzeźbiarskim modelunkiem, heroiczną wymową, heroicznym „trwaniem" na płótnie. Od pierwszego spojrzenia wiemy, że mają nam do powiedzenia swoją obecność, swój humanizm. Artystka zatarła za sobą ślad nieomal doskonale, ustąpiła miejsca solidnie gładkiej fakturze i przedstawionemu posągowi. Bardzo głębokie, uczuciowe zaprogramowanie obrazów nie pozostawia miejsca na indywidualne skojarzenia i dyskusje. Stoimy przed jednym gorącym życzeniem autorki, bez reszty wcielonej w przedstawianą rzeczywistość. Ona nie tworzy indywidualnych nadstruktur, nowej rzeczywistości artystycznej, lecz tę z tradycyjnych kręgów tematycznych dźwiga do wypracowanego przez siebie wzorca i do rangi sztuki.

Dlatego wiemy, że wysoka monumentalna nuta brzmiąca w jej twórczości ma określoną siłę. W klasycznie zakomponowanych pejzażach, w wileńskich zaułkach i wnętrzach, w martwych naturach potraktowanych czasem intymnie, daje się się wyczuć statykę przedmiotów, wagę materii, konstrukcyjność przyrody, mimo swobodniejszych, bardziej impresyjnych śladów pędzla i cieplejszego kolorytu. Natomiast kilka geometrycznych abstrakcji, zaprezentowanych na tej wystawie, jest jakby mimowolnym flirtem tematycznym ze współczesnością. One tak że składają się z elementów sensualnych, tym razem dlatego, że Skwarczewska tracąc wątek uczuciowy w dążeniu do przedmiotowości pieczołowicie wypracowała chropawą fakturę i skrupulatnie potraktowała kolor. Naturalnie w tym celu, by linie nabrały roślinnej mięsistości i stały się bardziej pochwytne zmysłowo. Twórczość artystki inspirują pobudki wrażliwego serca, często treści literackie w wybranej rzeczywistości, szczere zafascynowanie naturą i twarzą ludzką, uczuciowy stosunek do świata.

Wystawa w Salonie Sztuki Współczesnej mocno spóźniona w Łodzi, jest jakby przypomnieniem tych prawd, o których zdają się przede wszystkim pamiętać ci, którzy jeszcze w petersburskiej szkole uczyli się rysować z odlewów gipsowych.

ZBIGNIEW KOSIŃSKI

Malarstwo Zofii Artymowskiej

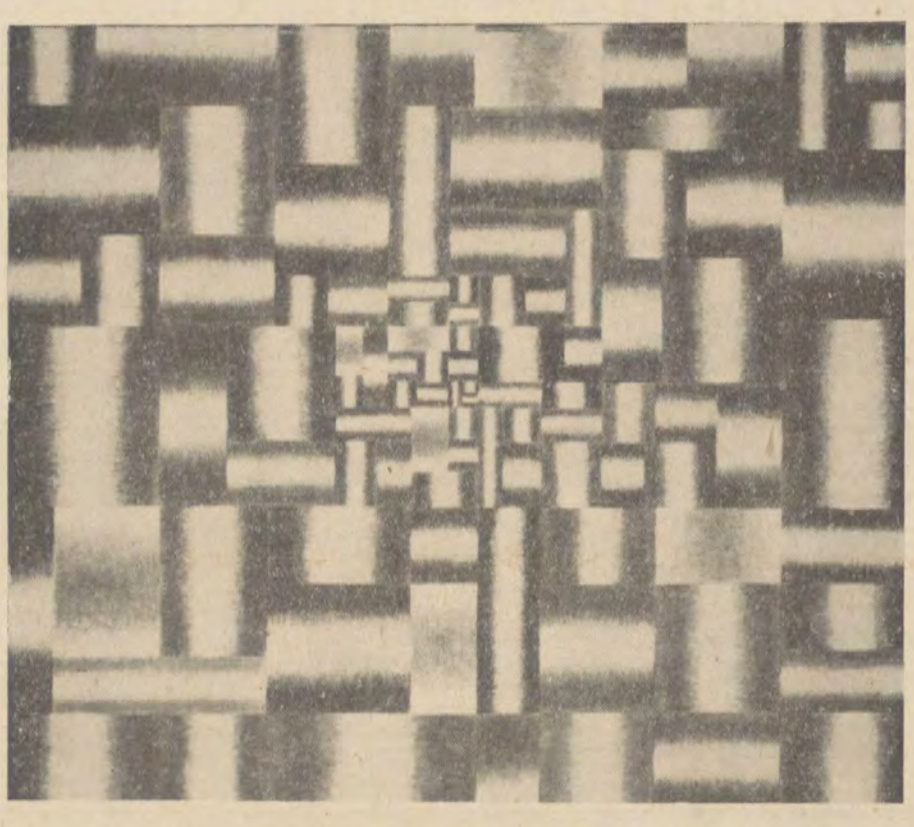

Zofia Artymowska: Poliformy III.

Malarstwo Zofii Artymowskiej dotarło do Łodzi jakby drogą pośrednią. Jest ono nam wyjątkowo bliskie, a jednak nie ma nic ze spontanicznego urzeczenia. Natomiast w większym stopniu być może tu mowa o zaintrygowaniu unikalnością zjawiska w miejscu, gdzie powstał najbardziej autentyczny kierunek sztuki konstruktywistycznej Hiller-Kobro-Strzemiński.

W malarstwie Zofii Artymowskiej dostrzega się konflikt w stosunku twórcy do natury. Można go określić króciutko jako sprzeczność między płaszczyzną obrazu, jego naturalną strukturą, a iluzyjnością perspektywy. Zofia Artymowska konflikt wzmacnia (czego konsekwencją są obrazy z cyklu „Podział przestrzeni"). W innych jak „Poliformy" spotykamy się z wręcz mechanistyczną koncepcją przestrzeni zapełnionej. U Artymowskiej konkretnie zapełniona przestrzeń (w tym wypadku dwuwymiarowa) jest unowocześnioną wersją renesansowego malarstwa. Jest to tym samym mocna odpowiedź na płynne i niejasne wizje czasoprzestrzenne taszystów.

W pracach swych Artymowska odnajduje dwie podstawowe dla sztuki malarskiej zasady: równowagę kompozycyjną przy pomocy linii płaszczyzn i brył i integralność formy poprzez wzajemne oddziaływanie na siebie poszczególnych jej elementów. Wystarczy, aby to samo w sobie stało się tematem obrazu. Stanowi to także reakcję na tendencje tak sztuki dekoracyjnej jak i pseudointelektualnej. Zofia Artymowska interpretuje swoje wizje właściwie tymi samymi przedmiotami. Dla mnie jest to czyn wyjątkowej inteligencji malarki i równocześnie konieczność estetyczna. Obecne lata są dla całej sztuki latami decydujących konfrontacji idei artystycznych, idei społecznych. Zofia Artymowska podkreślając zróżnicowany układ w uprawianym przez siebie stylu malarskim wie, iż jej droga krzyżuje się z innymi jeszcze orientacjami artystycznymi. Angażując się po stronie sztuki myślącej, a więc tej, która najbardziej wzrusza, dodała nam argument dopełniający do kryteriów jasnej oceny.

*) Wystawa malarstwa Zofii Artymowskiej, Galeria ZPAP, Łódź, Park Sienkiewicza, czerwiec 1970 r.

EWA NURCZYŃSKA

Węgierski film krótki —Miskolc 1970—

Na tydzień przed rozpoczęciem krakowskich spotkań filmowych zakończył się na Węgrzech narodowy XI Festiwal Filmowy w Miskolcu, będący podobnie jak Ogólnopolski Festiwal Filmów Krótkometrażowych w Krakowie, dorocznym przeglądem dorobku krótkiego metrażu. Organizatorzy festiwalu w Miskolcu, zamierzając nadać mu rangę imprezy międzynarodowej, poszukują dlań właściwej formuły, gdyż znaczna dziś w świecie ilość międzynarodowych festiwali wymaga określeń ich profilu i charakteru. W bieżącym roku Miskolc, zachowując nadal jedynie charakter krajowy, był jednak terenem licznych spotkań członków A.I.C.S. (Międzynarodowego Stowarzyszenia Filmu Naukowego) i narad przedstawicieli współpracujących ze sobą wytwórni krajów socjalistycznych, w tym naszej WFO.

Pod patronatem CIDALC (Międzynarodowe Stowarzyszenie Upowszechniania Sztuki i Literatury przez Film) odbyły się też dyskusje, dotyczące możliwości i metod wykorzystania filmu przez współczesną szkołę, organizacje społeczne itp. w złożonym, odmiennym w różnych formacjach ustrojowych, ale wszędzie ważkim procesie dydaktyczno-wychowawczym. Na tym polu Węgrzy mogli się na międzynarodowym forum pochwalić osiągnięciami, które dla nas pozostają ciągle jeszcze w sferze marzeń. Przypomnijmy tu choćby głośny już „eksperyment węgierski", który ogarnął do chwili obecnej 80 tysięcy uczniów szkół średnich, a polega na wprowadzeniu elementów wiedzy o filmie do programu nauczania. Eksperymentowi temu towarzyszy znakomite zaplecze pomocy w postaci podręczników, „filmów o filmie", antologii filmowych itp. Działają kina szkolne, a telewizja węgierska przyszła w sukurs nauczycielom, wprowadzając do swych programów cykle wykładów i pokazów, których adresatem jest szkoła.

Choć ambicją organizatorów festiwalu w Miskolcu jest uczynienie go również okazją do międzynarodowych dyskusji o społecznym funkcjonowaniu filmu, nie one zdominowały tę najpoważniejszą węgierską imprezę filmową. W centrum uwagi znalazły się oczywiście pokazy konkursowe, na których zaprezentowano publiczności rekordową liczbę 77 filmów, w tym 23 filmy firmowane przez Telewizję Węgierską.

Tematyka i brak określonych wyróżników artystycznych tzw. filmów telewizyjnych, oglądanych w Miskolcu, jest potwierdzeniem tez, dyskutowanych ostatnio w Polsce bardzo żarliwie a mówiących o potrzebie koegzystencji kinematografii i telewizji. Ta ostatnia zaanektowała przecież wszystkie istniejące odmiany rodzajowe i gatunkowe filmu „kinematograficznego", ograniczając się w większości do roli producenta. Żartobliwie rzecz traktując można by tu dodać, iż węgierski film telewizyjny zarezerwował sobie prawo do przekraczania tradycyjnego metrażu filmu krótkiego, co różni festiwal miskolcki od krakowskiego, na którym ponoć tak długich krótkich filmów, jak w tym roku, jeszcze nigdy nie oglądano. Jury Festiwalu w Miskolcu dokonało rozdziału wszystkich nagród na prawach równorzędnych dla obu partnerów — kinematografii i telewizji, choć przyznać trzeba, iż biorąc pod uwagę ilość filmów dopuszczonych do konkursu — ta ostatnia pobiła swą starszą siostrę zbierając proporcjonalnie dużą ilość nagród.

Co miskolcki festiwal swej niezwykle wdzięcznej i dobrej publiczności zaproponował? Przybyłych na festiwal gości uderzyła na pewno pewna niemal obsesyjna monotonność filmów dokumentalnych. Rodziło się pytanie, czy zdeterminowała je społeczna potrzeba, czy może moda podsuwająca twórcom tematy nagradzane na festiwalach poprzednich. Węgierscy obserwatorzy festiwalu opowiadali się za tą ostatnią. W węgierskim filmie dokumentalnym dominuje tematyka wiejska. Dokumentaliści szukają jednakże na wsi przede wszystkim przykładów ludzkiej samotności, nędzy, rozczarowań i ciężkiej, najczęściej mało owocnej pracy. Filmy te pozostają w ogromnym kontraście z tym, co widzi każdy podróżujący po madziarskiej krainie, sycący oko obrazem urody i zamożności węgierskiej wsi. W grupie tych filmów wyróżniała się znakomitą reżyserią „SAMOTNOŚĆ" V. Lakatosa i nagrodzony jedną z głównych nagród telewizyjny film „WDOWA FARKAS" P. Zolnaya oraz pokazywane także w Krakowie „KONTRARGUMENTY" Schiffera, reprezentujące jednakże kierunek potrzebnej, interwencyjnej publicystyki. Starość, samotność, nędza zdeterminowały tegoroczną tematykę węgierskiego dokumentu.

Poza tematykę wiejską wyszedł odważny, potrzebny, znakomicie przez miskolcką publiczność przyjęty film „TAK JA TO WIDZĘ" I. Gyorgy, na który złożyły się wypowiedzi robotników na temat idei demokracji i częstego jej braku w stosunkach międzyludzkich, panujących w wielkich zakładach przemysłowych.

ANDRZEJ HAMPEL

Czymże jest Faust z okulawioną myślą?

PYTANIE TO ZADAŁ BOY CZTERDZIEŚCI CZTERY LATA TEMU PO OBEJRZENIU „FAUSTA" NA SCENIE TEATRU NARODOWEGO W WARSZAWIE. NIESKROMNIE POZWALAM SOBIE PRZYWOŁAĆ JE DZIŚ, NA MARGINESIE WYSTĘPÓW WROCŁAWSKIEGO TEATRU PANTOMIMY, PREZENTUJĄCEGO WIZJĘ PANTOMIMICZNĄ HENRYKA TOMASZEWSKIEGO „ODEJŚCIE FAUSTA".

1.

Celnie zauważył niedawno St. Kaszyński, iż Faust podobnie jak Don Kichot i Hamlet (dodałbym tu Odysa) przynależy do „rodziny człowieczej", powołanej do życia mocą fantazji ludzkiej, rodziny, która od lat twórczo zapładnia i „poraża prawdą istnienia". Literackie dzieje Johannesa Fausta, doktora nauk tajemnych, astrologa, alchemika i maga — ponoć słuchacza Akademii Krakowskiej — sięgają XVI wieku. Przekazywana najpierw ustnie, legenda o człowieku, który podpisał pakt z diabłem, oddając duszę za młodość, po raz pierwszy ukazała się drukiem w 1587 roku. pt „Historia o doktorze Janie Fauście, szeroko okrzyczanym guślarzu i czarnoksiężniku". Ważny dla dalszych rozważań jest fakt, że poza prostą i jarmarczną anegdotą o dziwnych przypadkach maga na ziemi i w zaświatach, spotkaniach z bohaterami i pięknymi kobietami (m. in. Heleną Trojańską), kryje się idea głębsza: poszukiwanie prawdy i wiedzy.

Motyw doktora Fausta twórczo rozwinął Christopher Marlowe w dramacie „Tragiczna historia doktora Fausta" (1588). Zgodnie z ideałami Renesansu jego bohater jest tytanem wiedzy, dzięki której chce poddać swej woli cały świat. Nie zważając na powszechnie uznane zasady etyczne dąży uparcie do urzeczywistnienia wizji „świata korzyści i radości, siły zaszczytów i wszechpotęgi, świata, mającego się stać udziałem mistrza nauki". Faust Marlowe'a jest filozofem, ale wiedza nie stanowi dla niego celu w życiu, traktuje ją jako drogę do celu, którym jest panowanie nad światem. Za tę cenę gotów jest sprzedać duszę diabłu. Nie oglądający się poza siebie, idący po trupach Faust staje się nadczłowiekiem.

Najpełniej jednak legendę o Fauście przetworzył J. W. Goethe. W pisanym przez prawie lat sześćdziesiąt „Fauście" dał syntezę ludzkości. Zasadniczą ideą dramatu uczynił spór o istotę i wartość człowieka. Przeprowadzony za sprawą Mefista przez wszystkie uciechy doczesne, mający na sumieniu śmierć i krzywdę ludzką, nie zatraca jednak Faust lepszych instynktów człowieczych. Ani zaszczyty, ani przygody, ani miłość najpiękniejszej z kobiet, Heleny, nie zadowalają go. Całe życie poszukuje prawdy i dopiero jako starzec odkrywa istotę i cel życia. Jest nim poszukiwanie i praca dla innych. Pełnym człowiekiem zostać można dopiero wtedy, zdaje się mówić Goethe, gdy razem z innymi przeżywa się radość i tragedię życia. Wyzwalający się spod wpływu Mefista Faust staje się humanistą.

Wprawdzie po tragedii Goethego jedynie Tomaszowi Mannowi udało się stworzyć podobnie głęboką, współczesną wersję Fausta, jednak warto tu jeszcze wspomnieć udany poemat dramatyczny Nicolausa Lenana pt. „Faust" (1836). Bohater tego romantycznego protestu przeciwko ustalonemu porządkowi świata i Bogu, wpisany w krąg zamykający się miłością, nienawiścią i walką, intensywnie przeżywa ludzkie problemy, opanowany żądzą poznania świata i ludzi.

Z nowszych wersji motywu doktora Fausta wspomnieć trzeba dramat F. Avenariusa „Faust" (1919) tworzony przez pryzmat wydarzeń współczesnych autorowi oraz nieudaną próbę uwspółcześnienia starej legendy M. de Ghelderode z 1926 r. pt. „La mort du Docteur Faustus" i „Mon Faust" P. Valery (1946), gdzie Eros dominuje nad innymi problemami.

Wreszcie napisany przed kilku laty „Wasz Faust" M. Butora, który śladem Paula Valery i libretta Barbiera i Carrego na plan pierwszy wysuwa przeżycia erotyczne bohatera, gubiąc, niestety, po drodze sprawy ostateczne człowieka i świata, które stanowiły pierwotną osnowę legendy o Johannesie Fauście.

Już z tego pobieżnego rejestru literackich przekazów motywu Fausta widać, że wszystkie liczące się w historii literatury wersje legendy za temat zasadniczy brały problemy natury egzystencjalnej. Faust był przede wszystkim człowiekiem myślącym. Przeżycia miłosne uzupełniały tylko jego wizerunek.

2.

Mając w pamięci nie najlepsze wrażenia ze spotkania z Faustem w operze, szedłem na przedstawienie Wrocławskiego Teatru Pantomimy z pytaniami pełnymi niepokoju. Co też może Tomaszewski zaproponować w swej wizji pantomimicznej z tej przebogatej tragedii ludzkiej? Henryk Tomaszewski idąc modnymi tropami łączenia legendy z najbliższą współczesnością pokazał zabawę u Fausta. Wprowadzając stylistyczną klamrę w postaci grupy młodzieży, bawiącej się w „dobro i zło", grającej historię doktora Fausta, chciał widać przekazać jakąś myśl głębszą. Niestety, dzięki niespójności poszczególnych obrazów, pozbawieniu Fausta całej głębi, jaką nadał mu Goethe, myśl ta pozostała dla widza niejasna. Powiem wyraźniej: klamra ta wydaje mi się tylko banalnym zabiegiem kompozycyjnym, zbyt tanim, by mógł zmieścić się w tych rejonach sztuki, jakie reprezentuje stara legenda o poszukiwaniu prawdy i życia. Wypływające z tego pomysłu miotły w rękach roboczo ubranych wykonawców oraz pomieszane z nimi kierownice motocyklowe także chyba niczego głębokiego nie sygnalizują.

Faust pozbawiony słowa, wadzenia się z Bogiem, światem i mocami piekielnymi o sprawy najważniejsze, przestał być symbolem człowieka pełnego, humanisty dręczonego pasją poznania życia, jego tajemnic i uroków. Niewiele pozostało w tym widowisku z żarliwego pożądania nieskończoności, poszukiwań istoty i wartości człowieka, z przeżywania szczęścia i męki życia. Wieczne pragnienie wiedzy, niepokój i niezadowolenie, tęsknota za czymś ponadziemskim przesłonięte zostały w „Odejściu Fausta" przez inne wartości. Zobaczyliśmy kilkanaście obrazów sprawnie rozgrywających banalny (w zestawieniu z pierwowzorami literackimi) wątek miłosny. Tak jakby Faust zawarł pakt z diabłem po to, by móc przespać się z Małgorzatą i odwiedzić Helenę Trojańską.

„Odejście Fausta" jest przedstawieniem namiastek. Bowiem zamiast głębokiej prawdy o naturze ludzkiej, zamiast obrazu jednostki, której doświadczenia, dzieje i rozwój przedstawiają zarazem historię i przeznaczenie całej ludzkości, widzieliśmy technicznie imponujący i doskonały, ale myślowo ubogi obraz chutliwego uwodziciela.

Przyznam się na koniec, że ostatnie przedstawienie Wrocławskiej Pantomimy przekonywać mnie zaczyna coraz bardziej do opinii K. Irzykowskiego, który w 1926 roku pisał: „na próżno by było dziś twierdzić, że „Faust" wcale się nie nadaje na scenę i że powinien należeć do rezerwatów wyobraźni nietykalnych przez

teatr ani przez kino, tak jak są rezerwaty przyrody, parki narodowe, na których nie wolno polować ani zakładać urządzeń eksploatacyjnych".

Motto z Goethego pomieszczone w programie do „Odejścia Fausta" zdaje się jako żywo przystawać do jego kształtu myślowego:

„W barwnych obrazach brak jasności zawdy,
wiele ułudy i iskierka prawdy".

Szkoda, że była to tylko iskierka.

Wrocławski Teatr Pantomimy „Odejście Fausta". Scenariusz i choreografia: H. Tomaszewski, muzyka: H. Berlioz i pop-jazz; scenografia: Wł. Wigura.

KSIĄŻKA z książkami

ZA DRUTAMI MURNAU

Stefan Majchrowski — autor wielu znanych i uroczych książek m. in. o Fredrze, o Sienkiewiczu napisał książkę o losach polskich jeńców wojennych w czasie drugiej wojny. Sam był przecież jeńcem — przesiedział kilka długich lat za drutami Murnau. Po latach napisał książkę - wspomnienie, książkę-dokument.

Przedstawił w niej życie jeńców w bodaj największym z obozów III Rzeszy, w Oflagu VII a. W sposób żywy i interesujący opisuje organizację i rozwój tej swoistej społeczności jenieckiej, która sama musiała sobie tworzyć możliwości życia i przetrwania. Główną udręką ludzi zamkniętych w obozach — obok warunków zewnętrznych — było uczucie kompletnej bezsiły i niemożności uczestniczenia w walce. Ci zdrowi przecież i sprawni fizycznie mężczyźni stłoczeni w ciasnych barakach nasłuchiwali z obsesyjną uwagą wieści z frontów — sami te wieści tworzyli, żyli w świecie izolacji i bezruchu — i to było najgorszą udręką.

A jednak obóz w Murnau ukazuje się w książce Majchrowskiego w barwach żywych i jasnych. Po ćwierćwieczu i autor i większość byłych jeńców spoglądają na tamte lata przez różowe okulary, wyszukując momenty i zdarzenia, które podnosiły ich na duchu.

Jeniec z Murnau miał do dyspozycji przeciętnie około dwóch metrów kwadratowych przestrzeni mieszkalnej na osobę. Ale — co gorsza — jeniec miał wiele czasu na myślenie. Myślał więc o bliskich, o rodzinie, o kolegach walczących... A równocześnie niepokoił się bez przerwy o ich los i o los kraju, los wojny. Co w takich warunkach przeżywał człowiek? Książka — dokument Stefana Majchrowskiego na to pytanie nie odpowiada — tej odpowiedzi nie udzieliła do końca chyba żadna z nielicznych książek o oflagach.

(jw)

Stefan Majchrowski „Za drutami Murnau". Wyd. MON 1970, cena 10 zł.

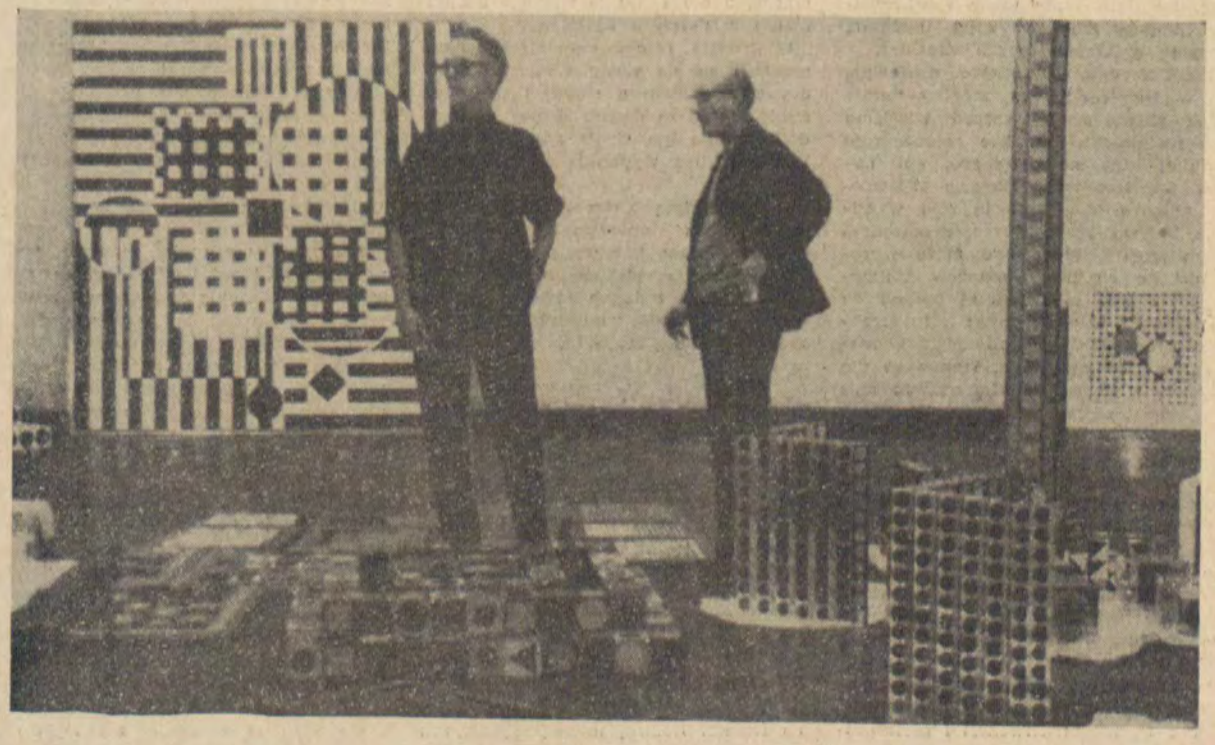

Bardzo liczną grupę stanowiły na miskolckim festiwalu filmy o sztuce i twórcach. Takie nagrodzone filmy jak: „VASARELY" A. Herkó, „KWIAT I TOPÓR" A. Kollanyi i „ANDRZEJ RUBLOW" I. Gyorgy wykazują, że dla węgierskich realizatorów, podobnie jak i dla ich polskich kolegów, właściwa formuła filmów o sztuce jest nadal celem, którego się poszukuje, lecz do którego się jeszcze nie dotarło. Prawdziwym wydarzeniem artystycznym, udowadniającym te możliwości był film „AMERIGO TOT" w reżyserii H. Huszarika. Poświęcony żyjącemu dziś we Włoszech węgierskiemu rzeźbiarzowi, film ten odkrywa nie tylko piękno jego twórczości lecz ujawnia również tajniki przetwarzania w dzieło sztuki tego, co artysta dostrzega w otaczającym go świecie, śledzi funkcjonowanie jego sztuki, która, jak on sam, nie uznaje mapy świata — jest wszędzie. Nowoczesna dramaturgia tego filmu, jego cudowny rytm i fotografia w połączeniu z bardzo osobistym widzeniem twórczości artysty — to przykład nie odkrywanych zbyt często możliwości filmów o sztuce.

Oglądaliśmy też na festiwalu kilka interesujących filmów w kategorii tzw. eksperymentalnych. Należało do nich „STUDIUM" J. Gujdara, filmowa symfonia urzekająca pięknem plastyki prozaicznego na pozór procesu spalania się świecy i rażąca bardzo złą muzyką oraz „CAPRICCIO", poetycka groteska, której tematem jest dialog fantazji i gorzkiej rzeczywistości, z którego zwycięsko wychodzi mimo wszystko wiara w oczyszczającą siłę sztuki i fantazji. Filmem tym autor „Amerigo Tot" Z. Huszarik potwierdził jeszcze raz swój niezaprzeczalny talent.

Znając z ostatnich lat sukcesy węgierskiego filmu animowanego w tym roku trzeba było z żalem stwierdzić, iż żadnych ciekawych propozycji festiwal miskolcki nie przedstawił.

I to właściwie wszystko, co o węgierskim dorocznym święcie krótkiego metrażu napisać dziś można. Dodać może warto, iż jego polscy obserwatorzy mogli zeń wywieźć refleksję, że nasze narzekania na polski film krótki są wynikiem jego znakomitej prosperity w latach poprzednich. A tak bardzo wstydzić się dziś go nie trzeba.

Piosenki festiwale muzyka

ROZMOWA Z ZYGMUNTEM KONIECZNYM

Nazwisko Koniecznego związane jest z polską kulturą muzyczną od dawna. Związane jest z piosenką, z jej najbardziej ambitnym, awangardowym nurtem. Związane jest z jedną z najciekawszych polskich piosenkarek współczesnych — Ewą Demarczyk.

Dlatego ważnym wydało się porozmawiać z Zygmuntem Koniecznym na temat piosenki, szczególnie teraz, kiedy nadchodzi nowa fala piosenkarskich festiwali.

Miało to być celem rozmowy, ale stało się inaczej. Zygmunt Konieczny mówił o wielu innych sprawach, nie mniej interesujących dlatego, że jest kompozytorem nie tylko piosenek, ale również autorem muzyki do sztuk widowiskowych — teatru i filmu. Jest kompozytorem poszukującym ciągle nowych form muzycznych wypowiedzi. Ma na swoim koncie wiele wysoko ocenionych pozycji muzycznych i tylko 32 lata.

— Czy mógłby Pan z niemal rocznego dystansu ocenić festiwale piosenkarskie 1969 i powiedzieć, co interesującego, trwałego pod względem muzycznym w nich się wydarzyło?

— Uważam, że festiwale piosenki nigdy nie są interesujące muzycznie i nie należy ich odbierać w ten sposób. Nie są one zjawiskiem artystycznym, czasem tylko zdarzy się coś w tym sensie ciekawego. Moim zdaniem, festiwale to przede wszystkim przygoda towarzysko-socjologiczna. Impreza towarzyska, bo ludzie przychodzą na spotkanie z piosenką, wykonawcą; socjologiczna — bo niezmiernie interesujące jest spojrzenie pod tym kątem na festiwalową estradę. Uważam, że festiwale powinni oglądać socjologowie, jak również etnografowie, gdyż jest na nich prezentowana współczesna twórczość ludowa. Przecież w autentycznej twórczości ludowej od lat nic się nie zmienia.

Piosenek prezentowanych na festiwalach nie można odbierać pod kątem muzycznym również i dlatego, że warunki w jakich są wykonywane — warunki atmosferyczne, zła radiofonizacja, nie sprzyjają dobrej prezentacji. Te same piosenki nagrane w studio mogą być wydarzeniem artystycznym.

Poza tym uważam, że festiwale piosenkarskie, to „mondo cane" naszej współczesności, w sensie artystycznym oczywiście. Określenie to ukułem sobie podczas festiwalu w Słonecznym Brzegu w Bułgarii. Może dlatego, że był to bardzo zły festiwal.

— Mógłby Pan go bliżej scharakteryzować, porównać z naszymi?

— Jest to festiwal międzynarodowy, można go porównać rangą z naszym sopockim. Ale była to impreza bardzo nieciekawa, nawet w porównaniu z naszymi krajowymi. Monotonia była zarówno w wykonawstwie jak i w instrumentacji. W naszych festiwalach ożywienie wprowadzają zespoły o różnym składzie instrumentalnym. Tam grały tylko dwie orkiestry symfoniczne. Poza tym nie było tej uroczystej fety, która z naszych festiwali czyni święto piosenki.

Udział w festiwalu brali ludzie od lat parający się zawodowo piosenką. Uważam, że w festiwalach nie powinni brać udziału zawodowcy i to zarówno kompozytorzy, autorzy tekstów jak i wykonawcy. Powinny być wyłącznie dla ludzi jeszcze nie znanych, powinny ich popularyzować. Zetknięcie z szerokim forum, pierwsza konfrontacja jest niezwykle cenna i ciekawa dla obu stron.

Najznakomitsza była Ewa Demarczyk. Ewa występowała również poza konkursem jako gwiazda znana i uznana. Zebrała bardzo pochlebne opinie w prasie bułgarskiej, która donosiła, że była ona największą rewelacją festiwalu. Podobała się, odbijała od innych.

— To bardzo cieszy, że Ewa podoba się nie tylko nam. Ale dla Pana jest to również i satysfakcja osobista. Przecież Ewa Demarczyk jest tak cudowną piosenkarką, między innymi dzięki Pana piosenkom, przecież również Pan jest znany szerokiemu odbiorcy dzięki Ewie. Ale słyszałam, że ostatnio coś się zmieniło...

— Tak, w ostatnim czasie Ewa śpiewała piosenki Andrzeja Zaryckiego. Ale udało mi się ją namówić do wykonania najnowszej mojej piosenki. Moje piosenki są szalenie ekspresyjne i tylko Ewa potrafi je wykonać w sposób prawidłowy. Jej sposób wykonywania tekstu, dykcja, prezentowanie piosenki w sposób nie śpiewaczy a piosenkarski — to walory, które tylko ona posiada. Zresztą muzyka ekspresyjna to założenie całej mojej twórczości.

— Taka przecież była muzyka do „Szkiców warszawskich", filmu Henryka Kluby.

— Jak najbardziej. Założeniem była muzyka ekspresyjna.

— Pisał Pan również muzykę do filmów krótkometrażowych. Jak się doliczyłam to opracował Pan muzykę do ośmiu krótkometrażówek?

— Tak. Bardzo interesującym zajęciem było opracowanie muzyki do ostatniego filmu „Wyspa małego człowieka" — reż. Andrzeja Papuzińskiego. Chodziło tam o stworzenie relacji, dialogu między uformowaną propozycją graficzną dorosłego, a reakcją na nią dziecka. Instrument podawał prostą melodię i grał równolegle z reakcją dziecka. Nie narzucaliśmy nigdy dzieciom formy, staraliśmy się wydobyć i zanotować ich oryginalne propozycje.

— A jak w innych filmach?

— Zawsze inaczej. W „Ar lekinie", reż. Kijowicza, muzyka jest rubasznym komentarzem, przedłużeniem treściowym obrazu w warstwie dźwięku. W zupełnie inny sposób podszedłem do muzyki w filmie „Rezerwat" reż. K. Urbańskiego.

— Ale jest to muzyka szalenie męcząca, trudna do zniesienia.

— To cudownie, muzyka powinna drażnić, powinna być natrętna. Źle, gdy pozostaje nie zauważona. Moją ogromną satysfakcją była muzyka do „Tańca śmierci" Augusta Strindberga, wystawionego przez Teatr Kameralny w Krakowie. Trzy godziny spektaklu, cztery akty plus muzyka trwająca również w antraktach. Muzyka była tam szalenie monotonna, oparta na pięciu dźwiękach wykonywanych na różnych instrumentach. Reakcja była taka że jedna osoba zemdlała, inna pobiegła do inspicjenta po pierwszym akcie spytać, jak długo to będzie jeszcze trwało. Gdy dowiedziała się, że do końca — wyszła. List nadesłany do dyrekcji teatru mówił, że to skandal nie do wytrzymania, że powinno się pana Koniecznego zamknąć w pokoju choćby na pół godziny z tą muzyką.

— A wracając do spraw piosenki...

— To opowiem jedną niezwykle miłą przygodę. Mieliśmy występy w Andrychowie, połączone ze spotkaniami z mieszkańcami. Jedna ze starszych kobiet, odtwórczyni piosenek ludowych, gdy się dowiedziała kim jestem, ucieszyła się szalenie i powiedziała: „Jak w radio dają pana piosenkę, to nie podoję krów, a posłucham". Była to najmilsza z moich recenzji.

ROZMAWIAŁA:
BARBARA KLIOMBKA

spektakle tygodnia

	spektakli	widzów	proc.
TEATR WIELKI			
„Orfeusz w piekle"	1	1260	100
„Królewna Śnieżka"	1	1260	100
„Kniaź Igor"	1	1260	100
„Cyrulik sewilski"	1	1260	100
NOWY			
„Życie jest snem"	2	700	50
„Szkoła kobiet"	1	350	50
NOWY MAŁA SALA			
„Rodeo"	3	450	75
„Pelikan"	2	200	50
POWSZECHNY			
„Lizystrata"	2	1100	85
JARACZA			
„Każdy kocha Opalę"	2	964	95
„Jegor Bułyczow i inni"	1	514	100
7.15			
„Żołnierz Królowej Madagaskaru	4	1688	100
OPERETKA			
„Miłość szejka"	6	3763	56
FILHARMONIA			
koncert symfoniczny	1	660	75

TP OBIEKTYW

Magia jednoczesności

Wiele już atramentu zużyto (nie całkiem to ściśle wyrażenie w dobie maszyn do pisania, długopisów i flamastrów), pisząc na temat tak zwanej specyfiki telewizyjnej. Czym różni się telewizja od filmu? Jaki typ programu chętniej oglądamy na ekranach telewizorów niż w kinie? Te i tym podobne pytania nasuwają się przy tym nieuchronnie.

O odpowiedź precyzyjną i w pełni zadowalającą niełatwo. Z pewnością nie najlepiej ogląda się w telewizorach filmy fabularne. Robimy to i znajdujemy w tym pewną dozę przyjemności, a przecież film oglądany w kinie, na dużym panoramicznym lub cineramicznym ekranie przysparza nam niewspółmiernie więcej wrażeń estetycznych. Na małym ekranie śledzimy właściwie tylko fabułę, tracimy zaś plastykę obrazu, głębię ostrości, czytelność detali w kadrze. Zniekształceniom ulega dźwięk. Nie mówiąc już o sytuacji, gdy w grę wchodzi film barwny i panoramiczny. Telewizja jest w stanie przekazać zaledwie jego cień.

Inna sprawa z teatrem telewizji, przygotowanym w studio i realizowanym z myślą o małym ekranie. Kadry komponuje się w ten sposób by zapewnić ich maksymalną czytelność, nie gromadzi się zbyt wielu detali ani elementów scenograficznych. Chętnie operuje się dużym zbliżeniem twarzy aktora, kamera śledzi wówczas najdrobniejszy grymas, czy drgnięcie mięśnia. Przypomnijmy sobie choćby nadany niedawno przez Telewizję Warszawska monodram z Haliną Mikołajską, w którym znakomita aktorka operując właśnie grą twarzy w zbliżeniu przemieniała się z młodej kobiety w schorowaną staruszkę. Myślę, że efekt ten byłby mniej przekonywający na ekranie kinowym.

Najczęściej jednak wysuwanym argumentem przemawiającym za telewizją jest jednoczesność. Jednoczesność działania się na ekranie i w rzeczywistości. W kinie poczucie jednoczesności jest nam nie znane. Każdy widz kinowy zdaje sobie sprawę, że to co się dzieje na ekranie sfilmowane zostało w przeszłości. Tymczasem właśnie telewizja przekazuje nam nieraz pewne fakty i wydarzenia na gorąco, w tej samej chwili, w której się one odbywają w rzeczywistości (dla uproszczenia nie biorę pod uwagę ułamków sekund, jakich trzeba na „transport" obrazu przy użyciu fal eteru).

Jednoczesność bywa czasem wielką szansą telewizji. Przypomnę choćby bezpośrednią transmisję z pierwszego spaceru księżycowego załogi statku kosmicznego „Apollo 11" w lipcu 1969 roku. Wiele osób w naszym kraju oglądało tę transmisję w nocy i przeżywało emocje silniejsze od naturalnego pragnienia snu. Sfilmowane fragmenty tej transmisji nadawane w programie telewizyjnym w następne dni nie przyniosły już tak intensywnych wrażeń. Magia jednoczesności przestała działać.

W ubiegłym tygodniu telewizja uraczyła miłośników sportu zarejestrowanym na taśmie filmowej dużym fragmentem sprawozdania z finałowego meczu piłkarskiego o mistrzostwo świata Brazylia — Włochy. Pokaz znakomitego futbolu stanowił niemała atrakcję dla kibiców, ale przecież nie przeżywaliśmy przed telewizorami silnych wzruszeń. Wynik ostateczny był nam znany a celnych strzałów Pelego, czy Jarzinho oczekiwaliśmy jako coś nieuchronnego.

No, tak! Ale przed sprawozdaniem z meczu Brazylia — Włochy oglądaliśmy filmową relację z mistrzostw Europy w podnoszeniu ciężarów, rozgrywanych w Szombathely. I tu nie było pełnej jednoczesności, wydarzenia relacjonowane nam przez telewizję miały miejsce kilka godzin wcześniej. Jeżeli mimo to przeżywaliśmy emocje przy kolejnych podejściach Baszanowskiego, to dlatego, że nie znaliśmy w tym momencie ostatecznego wyniku. Jacek Żemantowski nie zdradził go nam dyskretnie, by nie pozbawić nas przyjemności.

A więc magia jednoczesności jest może nieco przereklamowana jako walor telewizji. Tym bardziej, że rozwój techniczny zmierza do rejestrowania na taśmie (głównie magnetycznej) coraz większej części programu. Telewizja rezygnuje w ten sposób z atutu jednoczesności na rzecz sprawniejszego komponowania całych bloków programowych. Jednocześnie rezerwować się będzie dla wydarzeń szczególnej wagi.

Władysław Orowski

O FILMACH DOBRZE i ŹLE

Rozpoczęła się pora, kiedy na ekranach kin niepodzielnie niemal panują komedie, westerny, filmy gangsterskie — jednym słowem letnia produkcja rozrywkowa. Na ogół wszystko w luksusowej oprawie standardu życia „wyższych sfer", która znakomicie okrasza tę produkcję kategorii „B", albowiem gładko ogląda się plenery Florydy, piękne pejzaże, luksusowe jachty, atrakcyjne, rozebrane przeważnie dziewczyny i pełny komfort, w jakim żyją oszukujący i oszukiwani, kiedy w dodatku jest zupełnie obojętne kto kogo i dlaczego oszuka.

Na lato są też melodramaty. Do nich należy **„PIĘKNY LISTOPAD"** (reżyseria — Mauro Bolognini, zdjęcia — Armando Nannuzzi) film produkcji włosko-francuskiej. Poza wyjątkami potwierdzającymi regułę, z adaptacjami książek na filmy rzecz ma się na ogół tak, że z dobrej literatury powstają mierne filmy, a z miernej literatury — dobre filmy. Podobno książka „Piękna jesień" XIX-wiecznego autora Ercole Patti jest cenną pozycją w literaturze włoskiej. Nie sądzę, by na jej podstawie zrealizowany „Piękny listopad" zajął podobną pozycję w kinematografii włoskiej.

Zrealizowany stosunkowo niedawno, bo w 1968 roku film, mógłby śmiało nosić markę pozycji sprzed dziesięciu lub dwudziestu lat. Nie reprezentuje ambicji kina nowoczesnego, ani nawet współczesnego. Historia 17-letniego chłopca (debiutuje tą rolą w filmie 16-letni Paolo Turco, z powodzeniem zresztą, które być może wprowadzi go na listę aktorów filmowych) i jego młodzieńczej miłości do ponętnej, a zalotnej ciotki (i tu atrakcja filmu — Gina Lollobrigida), rozciągnięta do znudzenia, stanowczo nie wystarcza na to, by film nazwać można było interesującym.

Nie znając książki można się tylko domyślać, że reżyser nie umiał wydobyć subtelności psychologicznych w niej zawartych, nie potrafił wykorzystać motywów społecznych. Liczna rodzina sycylijska, w której panuje silne przywiązanie do tradycji i bardzo swobodne obyczaje moralne, mogłaby zapewne być doskonałym materiałem do studium społeczno-obyczajowego. Film jednak ukazuje postacie papierowe, zarysowane zaledwie, nie pogłębione, a przez to często niezrozumiałe. Sporo tu niekonsekwencji i niejasności i to od razu od początku filmu, który sugeruje konflikt między synem a matką, a nie znajduje żadnego uzasadnienia w dalszych partiach.

W gruncie rzeczy cały ciężar filmu przenosi się na sceny erotyczne między siostrzeńcem a ciotką i tu przyznać trzeba, że dawno u nas nie widziana Gina jest ciągle ponętna, a jej liczne negliże wypadają wcale atrakcyjnie.

Najmocniejszą stroną filmu jest chyba praca operatorska, ciekawa chwilami praca kamery, piękne malownicze widoki sycylijskie. Ale i kamera nie wnosi tu żadnych rewelacji. Gdyby je próbowała wnosić kłóciłaby się zresztą z pracą reżysera.

☆

Oparty, luźno zresztą, na opowiadaniu Ernesta Hemingwaya „Mordercy" (ekranizację tego opowiadania w reżyserii Roberta Siodmaka oglądaliśmy na naszych ekranach) jest film amerykański **„ZABÓJCY"** (reżyseria — Don Siegel, zdjęcia — Richard L. Rawlings). Rzecz dzieje się w środowisku gangsterów, do którego należą dwaj płatni mordercy. Wykonawszy „zamówienie" zaczynają interesować się swoją ofiarą, a to z tego powodu, że człowiek ten nie uciekał, lecz czekał na śmierć. Rozwiązanie tej zagadki, rozbijającej schemat działania zawodowego zabójcy, połączone z nadzieją zdobycia miliona dolarów, skłania dwóch gangsterów do podjęcia poszukiwań swych mocodawców, którzy polecili im zamordowanie ofiary. Jest w tym filmie, nieco dla nas egzotycznym, ukazany świat gwałtu, rabunku i morderstwa, świat wyizolowany z reszty społeczeństwa, ale jakoś przecież przez to społeczeństwo zaakceptowany, świat rządzący się swoimi regułami i normami.

„Zabójcy" nie mają zapewne tych ambicji co „Mordercy" Siodmaka, jest to jednak film nie pozbawiony zapewne walorów psychologicznych, o sprawnym warsztacie, konsekwentnej konstrukcji dramaturgicznej, opartej o retrospekcje — opowiadania kolejnych uczestników wydarzeń sprzed kilku lat, jest to wreszcie film o mocnej obsadzie aktorskiej, typowo męskiej, z udziałem jednej tylko kobiety (Angie Dickinson). Rolę głównego bohatera gra John Cassavetes, znany aktor i reżyser, jeden z najbardziej interesujących przedstawicieli współczesnego kina amerykańskiego, grają również: Lee Marvin, jeden z najlepszych aktorów hollywoodzkich, Ronald Regan (dziś gubernator stanu Kalifornia) i inni.

ZASTĘPCA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

NIEŚMIERTELNA UKOCHANA

Nazywał ją „nieśmiertelną ukochaną". Pisał: „Mój aniele, moje wszystko, moje Ja". „Gdzie ja jestem, jesteś i Ty ze mną". „Bądź spokojna — kochaj mnie dziś — jutro — jakaż tęsknota ze łzami za tobą — za tobą — za tobą".

Autorem tych żarliwych

Dorota Ertmann

słów pełnych tęsknoty i wielkiej miłości był genialny kompozytor Ludwik van Beethoven.

Kim była nieśmiertelna ukochana? Przez sto pięć dziesiąt lat stanowiło to tajemnicę.

Nazajutrz po śmierci kompozytora trzej jego przyjaciele Breuning, Schindler i Holz w jednej z szaf w pracowni muzyka odkryli tajną skrytkę. Znajdowały się tam nie tylko papiery wartościowe, ale także trzy listy miłosne. Nie ujawniały one jednak adresatki. Pisane były 6 i 7 lipca, ale nie wiadomo którego roku. Z treści wynikało, że miały być, czy też były, wysłane do miejscowości K.

Półtora wieku badacze życia wielkiego muzyka próbowali rozszyfrować tajemnicę. Adresatki szukano w kręgu wiedeńskich znajomych Beethovena. Ale tajemnica pozostała tajemnicą. Ostatnio amerykański badacz H. C. Robbins Landon pokusił się o rozwiązanie zagadki i twierdzi, że mu się to udało. Zgodnie z badaniami dokonanymi już poprzednio przez innych, amerykański uczony stwierdził, że trzy owe listy Beethoven napisał w roku 1812. Letni urlop spędzał on wówczas w Teplicach, w Czechach. Tu zatem kompozytor je napisał i stąd wysłał do miejscowości K. Ustalono, że miejscowością tą był ówczesny Karlsbad, dzisiejsze Karlovy Vary. Sprawdzając w toku żmudnych badań, listę kobiet które mogłyby być kandydatkami na „nieśmiertelną ukochaną", a które w lipcu 1812 roku przebywały w Karlovych Varach, Landon doszedł do wniosku, że mogła nią być jedynie młodziutka, utalentowana, uczennica wielkiego muzyka, baronowa Dorota Ertmann. Ta śliczna kobieta wydana zamąż gdy miała siedemnaście lat za austriackiego majora, spędzała lato 1812 roku bez męża w Karlovych Varach. Landon znalazł pewne dowody, że Dorota w samym początku lipca kilka dni przebywała w Pradze. Badaczowi udało się też ustalić ponad wszelką wątpliwość, że również i Beethoven w dniach od 1 do 4 lipca przebywał w tym mieście. Miał się tam spotkać ze swym przyjacielem z którym się umówił. Lecz do spotkania te

Ludwik van Beethoven

go nie doszło. Cały więc czas pobytu w Pradze, twierdzi Landon, muzyk poświęcił Dorocie. Czy to rendez-vous wielkiego muzyka z byłą uczennicą było tylko przypadkowe? Nie wiemy 4 lipca Beethoven opuszcza Pragę udając się do Teplic, Dorota wyjeżdża do Karlovych Varów. Trzy więc listy znalezione przez przyjaciół wielkiego kompozytora pisane były w Teplicach i kierowane do Doroty Ertmann w Karlovych Varach. Gdy wczytać się pilnie w ich treść okaże się, że pomimo wyrażonej ogromnej tęsknoty i miłosnych zakięc, są to właściwie listy pożegnalne i zawierają nastrój rozstania. Nie wiemy nic więcej o historii miłości czterdziestodwuletniego wówczas kompozytora i młodziutkiej baronowej. Jedno jest pewne. Są to jedyne listy miłosne kompozytora w których zwraca się on do kobiety per Ty. Jedyne też które ujawniają taki żar jego uczucia.

Jak znalazły się listy pisane do Doroty w wiedeńskiej pracowni? Są dwie możliwości, z których żadna nie może być pewna. Albo Dorota kiedyś zwróciła je ich autorowi, albo, co jest najbardziej prawdopodobne, kompozytor zawahał się przed ich wysłaniem i listy pozostały w tajnej skrytce, aż je po śmierci genialnego kompozytora odkryli przyjaciele.

Fragment monumentalnej dekoracji ceramicznej Edwarda Pignon na budynku Ogniska Kulturalnego w Argentuil.

NAJWIĘKSZE DZIEŁO CERAMICZNE ŚWIATA

Olbrzymie, barwne dzieło ceramiczne. Temat: przeciwstawienie pracy pokojowej i konstruktywnej okropnościom wojny. Monumentalne to dzieło ma 50 metrów długości, 9 metrów wysokości, twarz jednej, centralnej postaci liczy 3 metry szerokości. Przez sześć miesięcy trwało wypalanie ceramicznych elementów, przez dalsze sześć miesięcy reszta prac.

Dziś dzieło to, złożone z 5 tysięcy elementów zdobi budynek Ogniska Kulturalnego w Argentuil we Francji. Autorem tego największego na świecie dzieła ceramicznego jest Edward Pignon.

Urodził się w roku 1905 w Bully. Jego ojciec był górnikiem. Edward był jednym spośród pięciorga dzieci. Miał zaledwie sześć lat, kiedy w kopalni wydarzyła się tragiczna katastrofa w której zginęło dwustu górników. Zdarzenie to wywarło na dziecku wstrząsające wrażenie. Edward widział zabitych i rannych, pamięta szloch kobiet i ich twarze pełne rozpaczy. Później, kiedy dorośnie, po latach, będzie wracał do tych strasznych scen malując martwych górników czy tragiczne postacie kobiet.

Po ukończeniu szkoły, gdzie ujawnił talent do rysunku, Edward Pignon zostaje górnikiem. Później jednak rzuca ten zawód i próbuje różnych profesji. Nie zapomina nigdy jednak o twórczości. Rysuje, maluje, odwiedza muzea studiując obrazy mistrzów malarstwa. W roku 1936 spotyka Picassa. Zawiązuje się między nimi przyjaźń. Twórczość Picassa wywiera niewątpliwy wpływ na dalszą drogę artystyczną Edwarda Pignon. Dalsza jego kariera artysty jest powolna, ale z upływem lat malarz staje się coraz bardziej ceniony i coraz bardziej znany, a jego dzieła są poszukiwane. Dziś akwarele Pignona osiągają cenę po 7 do 10 tysięcy franków, a duże płótna olejne kosztują około 100 tysięcy.

Obecnie w paryskim muzeum Galliera odbywa się wystawa obrazów Edwarda Pignon, która cieszy się uznaniem krytyki i dużym zainteresowaniem zwiedzających.

ZMARŁA ELSA TRIOLET

W wieku lat 74 zmarła nagle na atak serca wybitna pisarka, żona znanego poety i powieściopisarza francuskiego, Elsa Triolet.

Z pochodzenia Rosjanka, urodziła się w rodzinie moskiewskiego adwokata. Ukończyła studia architektoniczne. Pisywała najpierw powieści w języku rosyjskim, a następnie francuskim. Aragona poznała czterdzieści lat temu i odtąd między nimi datowała się wielka przyjaźń i wielka wzruszająca miłość, która niejednokrotnie znajdowała swój wyraz w twórczości obojga pisarzy. Elsa Triolet wydała wiele książek m. in. „Kochankowie z Avignonu", „Rudy koń", „Pomnik" cykl powieściowy „Era nylonu", „Róże na kredyt". W roku 1944 otrzymała nagrodę Goncourtów. W swej twórczości pisarskiej żarliwie walczyła o ideały postępu i pokoju, o szczęście człowieka w naszej erze. Była też świetną tłumaczką literatury rosyjskiej na język francuski. Tłumaczyła m. in. Majakowskiego, Gogola, Czechowa. W czasie wojny Elsa Triolet była czynną działaczką postępową w Ruchu Oporu.

Elsa Triolet. Rys Henri Matisse.

Bez strachu

Nieobecni

Znam wielu nieobecnych — sam bywam jednym z nich. Nie byłem oto w jednym i w drugim mieście przez rok, czy przez dwa lata, zaprzestałem wizyt u pewnej rodziny. Tak, to ja nie przychodziłem, nie pisałem listów, nie telefonowałem, nie informowałem się. Wydawało się, że we wszystkich tych miejscach pozostała we mnie zakięsła nieco, zimna pustka i nic więcej. Tymczasem, kiedy powróciłem do miasta, kiedy napisałem, przyszedłem, zatelefonowałem, poinformowałem się — stwierdziłem, że owa domniemana, zakięsła pustka — to wulkany kipiące moją rozpaloną nieobecnością. Wszyscy o mnie pamiętali, pilnie i daremnie czekali, by świadczyć mi dobro, czy zło, by doznawać ode mnie dobra czy zła. Po powrocie powiedziano mi to wprost w oczy jako wyrzut, karę, przejaw pogardy...

Ot i Franek — prawda, bywałem u Franka, jadałem u niego tłusto, rozmawiałem z nim o pogodzie i stanie zdrowia... Wynosząc się zatem na czas pewien zobowiązany byłem niejako odmeldować się u Franka, zyskać zwolnienie od jadła, od rozmów o pogodzie i o stanie zdrowia... Otóż ja, właśnie wtedy kiedy wyjechałem, najintensywniej o Franku rozmyślałem — zapominałem o Frankowym jedzeniu, pogodzie i katarze — dostrzegałem z perspektywy przebytych kilometrów dramat Frankowego bytu, pilnie badałem Jego zasady, strukturę Jego losu — analizowałem Franka, pogłębiałem Franka, doceniałem za jego ostatnie zasłony. Ale cóż znaczyły moje płodne prace nad Frankiem, jeśli Franek o nich nie wiedział? Ale dlaczego nie wiedział — powinien przecież się domyślić — czy dlatego odwiedzałem go przez całe lata, słuchałem uważnie i często, aby go nie zbadać, nie zrozumieć — by wyrzec się próby odnalezienia jego istoty. To co ma być zrozumiane — musi oddalić się w przestrzeni, nic nie wiemy o kimś, z kim zderzamy się nosem. Czy astronauci, którzy opuścili Ziemię na swoich maszynach są nieobecni? Przeciwnie — oddalenie pomnożyło ich obecność milion razy, ponieważ przesyłając ważne sygnały uczestniczą w sprawach Ziemi, a właśnie na uczestnictwie zasadza się obecność... Cóż z tego, że widzialny i senny siedziałem u Franka i mówiłem: „Padał dzisiaj deszcz", „Nie mam już kataru" — na bogów przestrzeni, cóż to była za obecność — raczej parodia obecności. Jestem obecny jeżeli uczestniczę i działam, jestem obecny jeżeli tworzę — wszystko inne jest niebytem, moja postać widziadłem, katar widmem, połykane kluski — diabelskim omamem. Jedni potrafią uczestniczyć — być obecnymi bezpośrednio, naocznie, inni robią to z daleka. Nieobecni to większość z tych, którzy codziennie spotykają się na ulicy i nigdy właściwie nas nie pojmą, nie odczują — to oni błędni w poznaniu, leniwi w czynie — krańcowi antytwórcy wszystkich dziedzin życia. Są ludzie, którzy mówili przez miesiące i nic nie powiedzieli, poruszali się latami i nic nie uczynili, odeszli pozostając wśród nas.

BERNARD SZTAJNERT

OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

Poetycka pora roku

DWUNASTY JUŻ RAZ — DOBRE TRADYCJE — PREZENTACJA ŁODZI ARTYSTYCZNEJ — PAMIĘĆ O CZERNIKU — POETYCKA GEOGRAFIA — NIEPOWTARZALNA ATMOSFERA — TEMAT NA FILM — TO MIEJSCE JEST POEZJĄ.

Dwunasty już raz odmieniła się ta pora roku w małej salce na pierwszym piętrze starego gmachu przy ul. Piotrkowskiej... Łódzka Wiosna Poetów — jedna z wielu poetyckich pór roku organizowanych jak Polska długa i szeroka od Kłodzka aż po Wybrzeże. Łódzka Wiosna Poetów — impreza, która wytrzymała próbę czasu — trwa nieustannie, jest nobilitacją, progiem i prologiem dla wstępujących młodych autorów.

To przecież tu, na tym pierwszym piętrze w lokalu PAX objawiały się nazwiska poetów dziś znaczących — Bordowicza, Stanclika, Górzańskiego, Świegockiego, Bierezina, Kuźniaka... Łódzka Wiosna Poetów ma raczej szczęśliwe trafienia. Z tej małej salki na pierwszym piętrze wychodzi młoda generacja poetów.

Do dobrych tradycji PAX-owskiej Wiosny Poetów należą wystąpienia krytyków. Z ubiegłego roku pamiętam ciekawe (bo dyskusyjne) — rozważania Zbigniewa Doleckiego — poety i krytyka, który zaryzykował coś w rodzaju wielkiej syntezy i klasyfikacji owego niesklasyfikowanego nurtu, jakim płynie twórczość najmłodszych. Próba wywołała poklask i sprzeciw — a zatem była potrzebna, bo obudziła namiętności i wywołała dyskusję.

Podobnie i w tym roku. Z tym, że w tym roku organizatorzy poszerzyli ramy całej imprezy, wzbogacając ją o prezentację różnych środowisk twórczych Łodzi. Myśl słuszna, bo przecież w Wiośnie Poetów biorą udział pisarze i debiutanci z całego kraju. Jest więc znakomita okazja, aby nasze miasto dobrze zareklamować. Tak więc prof. Wanda Lipiec mówiła o łódzkim teatrze, Ziemowit Skibiński o środowisku literackim, Konstanty Mackiewicz o plastyce. Ponadto odnotowaliśmy ciekawe wystąpienie Jalu Kurka, który mówił o dorobku zmarłego poety Stanisława Czernika oraz Zygmunta Lichnia ka odczyt o problemach kultury w naszym 25-leciu.

Jeśli już wspominam Stanisława Czernika, wielokrotnie w ubiegłych latach patronującego Łódzkiej Wiośnie Poetów, to warto zanotować, że w Turnieju Jednego Wiersza nagrodę otrzymał utwór Rymwida M. Kononowicza poświęcony pamięci tego pięknego człowieka i poety, który zostawił po sobie trwale zapisany ślad w polskiej poezji. W Turnieju zdobyli też nagrody M. Stanclik, J. Bierezin, A. Warzecha i St. Gola.

Napisałem, że w Łódzkiej Wiośnie Poetów biorą udział młodzi autorzy z całego kraju. Nie jest to stwierdzenie gołosłowne — wystarczy spojrzeć na listę nagród w głównym konkursie poetyckim imprezy.

Oto pierwsza nagroda dla Marka Jodłowskiego z Brzegu nad Odrą. Dwie drugie nagrody otrzymali Rymwid M. Kononowicz z Łodzi i Adam Ziemianin z Muszyny. Trzecie nagrody otrzymali: Krzysztofa B. Grabowska z Warszawy oraz dwaj poeci z Bielska — Stanisław Gola i Andrzej Wójcik. W ogóle Bielsko zdaje się być miastem szczególnie w poetów urodzajnym. Przypomnę choćby tylko Mieczysława Stanclika — laureata z lat ubiegłych. Też pochodzi z Bielska.

Wśród wyróżnionych znaleźli się także młodzi poeci z Łodzi i okolic — bo łodzianin Władysław Huzik i Eugeniusz Garnuch z Pabianic. A dalej to znów istna geografia Polski od Wybrzeża po Śląsk — Józef Baran, Tadeusz Olszewski, Kazimierz Skrzydliński, Anna Sałapatek, Mieczysław Warszawski, Anna Skoczylas, Andrzej K. Forbus, Andrzej Warzecha...

Atmosfera tej poetyckiej pory roku jest niepowtarzalna — może to świadomość, że na pierwszym piętrze starej łódzkiej kamienicy otrzymuje się poetyckie szlify, które coś znaczą... Że przecież ten próg i te szerokie schody przestępowali kiedyś ci, których nazwiska zapisały się już na stronicach współczesnej poezji... Może to serdeczność gospodarzy...

Fakt, że jeden z filmowców oglądając imprezy ostatniej Wiosny Poetów powiedział: „Człowieku! Z tego można przecież nakręcić znakomity dokument!" Oczywiście, że można — nawet się dziwię, że w ciągu tych dwunastu lat nikt tego — jak dotąd — nie zrobił. Jest to bowiem impreza poetycka wciąż żywa — mimo, że obrosła już w nie byle jaką tradycję.

Jedno jest pewne. Łódzka Wiosna Poetów stwarza debiutantom szansę. Kilkudziesięciu autentycznych poetów, którzy szli schodami w górę na pierwsze piętro starego gmachu, którzy nieprzerwanym szeregiem idą tymi schodami od lat dwunastu — ma tę szansę. Dla nich to pierwsze piętro jest naprawdę pierwszym piętrem w dążeniach w górę. Dokąd podążą? Na które piętro? Niektórzy z nich pozostaną w katalogu poezji — innych czas skaże na zapomnienie.

Ale to miejsce, ten dom w samym centrum Piotrkowskiej kojarzyć się będzie zawsze z poetyckim forum, z miejscem poetyckiego startu i odlotu w sukces lub rozczarowanie. Ale to miejsce, ten dom i to pierwsze piętro zawsze będzie się kojarzyć przede wszystkim z Poezją.

JERZY WIDOK

JOSEPH COMMINGS

Magiczna kulka

Kolorowy afisz przy wejściu do cyrku Band Bax ogłaszał: „Wielki Jannings, mag najsłynniejszy w swiecie". Znałem go od wielu lat, przyjaźniliśmy się. Potrzebowałem teraz jego pomocy, tylko czarodziej mógł mnie wyciągnąć z kłopotów, w jakie popadłem. Wsunąłem się tylnymi drzwiami na teren cyrku.

Przedstawienie już się skończyło, za kulisami zaczął się rozgardiasz. Wszedłem niepostrzeżenie do pokoju Janningsa, zapaliłem papierosa i czekałem. Pełno tam było fantastycznych rzeczy: książka o wywoływaniu duchów, cylindry z podwójnym dnem, płaszcze z ukrytymi kieszeniami.

Wszedł Jannings. — Tod Camden! — krzyknął. — Co za niespodzianka! — Uścisnął mnie, a ja zamknąłem drzwi na klucz.

Aktor przyglądał mi się z ciekawością. Miał oczy głębokie i przenikliwe, ręce długie, kościste. W sztuczkach magicznych był niedościgniony.

— Co myślisz o moich numerach, Tod? — zapytał. — Są wspaniałe, prawda? A jak ci się podoba ta scena, gdy spaceruję trzymając na talerzu moją własną głowę?

— Nie widziałem jej — mruknąłem tak opryskliwie, że spojrzał na mnie zdziwiony. — Ściga mnie policja, może już przyszli za mną tutaj. Jeżeli oni...

— Opowiedz wszystko — przerwał.

— Podczas ostatnich dwóch miesięcy pracowałem u starego Eli Wintera. Jego willa jest tu niedaleko. Siostrzenica Wintera — Mercedes i jej mąż Maxey Miller spędzili lato z nami. Stary wynajął mnie jako swego przybocznego strażnika na czas ich wizyty. To ci wyjaśnia jaki był jego stosunek do krewnych. Aż do dzisiejszego dnia nic się nie wydarzyło. Dziś od rana siedziałem w domu i czyściłem mój rewolwer kalibru 32. Starusek włożył futrzany kożuch i powiedział mi, że zostanie w swym pokoju, dopóki nie przejdzie mu zimno.

Mag spojrzał na mnie zdziwiony. — Kożuch? Zimno? O tej porze?

— Winter przez dwadzieścia lat podróżował, w krajach tropikalnych nabawił się malarii, i dlatego miewa napady zimnicy. W pokoju zamknął się na klucz. Z tego miejsca, gdzie siedziałem, mogłem obserwować drzwi. Po czterech minutach rozległ się strzał w jego pokoju. Zapukałem do drzwi, nikt nie odpowiadał. Za chwilę przybiegła z ogrodu Mercedes i jej mąż, oboje w kostiumach kąpielowych. Wyważyliśmy drzwi. Winter leżał w fotelu, z czoła płynęła krew. Okna były zamknięte. Przed fotelem stał stolik do gry w karty. O pół metra od denata był zapalony piecyk elektryczny. Zobaczyłem kulkę przy nodze stolika. Pistoletu nie było w pokoju.

— Magiczna kulka — mruknął Jannings zacierając ręce.

— Przywołaliśmy policję. Zbadałem kulkę, była kalibru 32. Ten zbieg okoliczności zdziwił mnie. Policja zabrała mi pistolet i zabroniła wychodzenia z willi. Boję się, czy ta przeklęta kulka nie wyszła z mojej broni i dlatego przyszedłem do ciebie.

James zmarszczył brwi. — Czy to wszystko? Czy czegoś nie brakowało w pokoju?

Zamyśliłem się. — Zginęła tylko paczka starych kart do gry.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. — Policja! Proszę otworzyć!

Jannings spojrzał na mnie. — Przyszli po ciebie. Schowaj się do magicznej lustrzanej szafy, prędko!

Gdy się już ulokowałem za lustrami, otworzył drzwi. Policjanci nie znaleźli mnie, przeprosili maga, wyjaśniając przy tym, że kulka niewątpliwie wyszła z mojej broni. Po ich odejściu wysunąłem się z szafy.

— Jak z Millerami — badał Jannings. — Czy odziedziczą wszystko?

— Prawie nic. Winter zapisał cały majątek stowarzyszeniu globtroterów.

W kilka minut później pojechaliśmy samochodem do willi Wintera. — Muszę zobaczyć pokój, w którym popełniono zbrodnię — wyjaśnił mój przyjaciel. — Mam jeszcze trzy godziny czasu do następnego przedstawienia. Powiedz mi coś na temat tych kart do gry, które zginęły.

— Winter wszędzie je z sobą zabierał, było ich bardzo dużo.

Jannings wyciągnął z kieszeni talię. — Czy tak wyglądały?

— Są podobne do tych, lecz większe i ładniejsze. Miał je w ręku, gdy wchodził do swego pokoju.

Przyjechaliśmy na miejsce. Przed domem stał na straży policjant. Zatrzymaliśmy się z dala, James kazał mi wysiąść. — Wejdź do willi od tyłu, ja tymczasem zabawię strażnika, pokażę mu różne sztuczki.

Posuwając się między krzakami dostałem się przez werandę do willi. — Toddy! Wróciłeś! — krzyknął ktoś za mną. Odwróciłem się szybko. To była Mercedes. Miała wydekoltowaną bluzeczkę, obcisła spódniczka uwydatniała jej ponętne kształty. Mercedes kochała się we mnie od pierwszego dnia mego przybycia do willi. Nie jestem pięknym mężczyzną, lecz w zestawieniu z jej mężem tłuściochem każdy wyglądałby jak Gregory Peck. Dlaczego poślubiła Maxey'a? Zwierzyła mi się, że obiecywał jej bogactwo. Mercedes była jak przedmiot na licytacji, szła z tym, kto więcej dawał.

— Kochany, możesz się tu ukrywać, jak długo zechcesz — prosiła. Mój egoistyczny wujek wart był tego aby umrzeć. Nie wydam cię policji.

W tym momencie wszedł Jannings pod ramię z Maxey'em, który zobaczywszy mnie skrzywił się. — Spotkałem w hallu pana Millera. Postanowiliśmy razem zbadać sytuację.

Przedstawiłem mego przyjaciela Mercedes. Przyglądał się jej bacznie. — Co się dzieje z policjantem na podwórzu? — zapytała.

— Jest bardzo zajęty — uśmiechnął się James. — Chciałbym zobaczyć pokój, w którym zmarł pani wuj.

Jannings obserwował fotel, na którym leżał zmarły. Potem stolik, piecyk elektryczny, zamknięte okna. Spojrzał na nas i zapytał: — Do czego mu służył ten stolik?

— Wuj miał zwyczaj stawiania pasjansa. Albo rozkładał karty i przyglądał im się.

Jannings dał mi szybki znak: miałem milczeć.

Mężczyzna wyglądał jak wystraszone zwierzę — Nie przypominam sobie — rzekł.

— Już wiem. Gringo..., czy coś podobnego — wtrąciła kobieta.

— Może Gringonneur? — wykrzyknął podniecony Janningsa. — Ile miał kart?

— Siedemdziesiąt cztery — rzekł Maxey.

Cyrkowiec wzniósł oczy na sufit. — Wielka Talia! — wyszeptał. Usiadł na krześle i przez chwilę milczał. — Proszę trochę wody i kieliszek koniaku.

— Przyniosę panu. — Mercedes skierowała się do drzwi a za nią Maxey.

James pochwycił mnie za rękę. — Słuchaj nim tamci wrócą. Winter miał talię tarokową malowaną przez Gringonneura, który żył w XIV wieku we Francji. Namalował talię dla króla Karola VI, siedemnaście kart możesz zobaczyć w paryskiej Bibliotece Narodowej. Winter musiał chyba przez całe życie szukać kompletu kart.

— I co z tego? — zapytałem.

— Te karty mają wartość pół miliona dolarów!

Usiadłem obok Janningsa. — Oto mamy motyw zbrodni! — wyszeptałem, gdy ochłonąłem ze wzruszenia.

Przytaknął. — Teraz wiesz, dla czego zamykał drzwi i okna. Te karty są autentycznymi arcydziełami.

Małżeństwo weszło do pokoju z wodą i koniakiem. Jannings wziął trunek. — Wodę dajcie Camdenowi.

Ledwie wypiłem łyk, gdy ktoś mnie trącił w łokieć. Woda wylała się na spodnie Maxey'a. Podskoczył wściekły. — Wariat! — krzyknął.

— To jest tylko woda — uspokajał go James. Wyjął chusteczkę z kieszeni marynarki Millera, wytarł nią kilka razy mokre spodnie i włożył z powrotem na miejsce.

— Chodź ze mną, Tod, muszę z tobą porozmawiać. — Poszliśmy do drugiego pokoju. Mówił szybko: — W jakich jesteś stosunkach z Mercedes?

— No, właściwie ja... — próbowałem się usprawiedliwiać.

— Wcale się nie dziwię... Z takim mężem, balonem! A ty jesteś ładnym chłopcem. Słuchaj, przy pierwszej okazji obejmij ją i postaraj się, aby was przyłapał mąż. Powiedz mi, czy strzelałeś tu kiedy koło domu z twego pistoletu?

— Tak. Tydzień temu pokazywałem Mercedes, jak go używać. Strzelałem do celu, była nim kukła z bawełny.

— Muszę już iść. Radzę ci poważnie: rób wszystko, czego za pragnie Mercedes, nie wahaj się!

Westchnąłem i zawołałem kobietę. Zjawiła się natychmiast. — Jestem, Toddy!

— Nie chcę już dłużej czekać, laleczko — powiedziałem głośno. — Szaleję za tobą, miłość jest silniejsza od nas!

Wybałuszyła oczy. — Toddy, a więc także i ty! — Zarzuciła mi ręce na szyję. Usłyszałem za drzwiami wycie, wpadł Maxey. — Zdejm łapy, nie będziesz... — Nie dokończył zdania.

Rzuciłem się na Maxey'a, zdzieliłem go pięścią. Upadł nieprzytomny na podłogę. Mercedes spojrzała na mnie z zachwytem: — Oto świetna okazja! Uciekajmy razem!

Co robić? — myślałem. Czy Jannings przewidział i to także?

— Moje auto jest w garażu — rzekła Mercedes. — Pojedziemy do stacji, a potem koleją.

Zaczynałem rozumieć, co sobie wyobrażał Jannings. Mercedes ukradła słynną talię, a ja miałem jej pilnować.

Jechaliśmy szybko. — Czy myślisz podróżować bez bagaży? — zapytałem.

Roześmiała się. — Mamy pieniądze, kochanie. Wiele pieniędzy!

Przybywszy na stację skierowaliśmy się do wagonu kolejowego. Nagle ktoś chwycił mnie za ramię. Drugi policjant zatrzymał Mercedes. Przywieźli nas do Centrali. Zobaczyłem między policjantami Janningsa. Miller siedział na krześle z kajdankami na rękach.

— A więc mamy mordercę — uśmiechnął się cyrkowiec. — Jest nim Maxey Miller! Działał inteligentnie. Wiedział, że Winter ogrzewał się elektrycznym piecykiem. Podniósł z ziemi jedną z twoich łusek i wyjął kulkę z bawełnianej kukły, która ci służyła za cel. Potem nasypał prochu do łuski i osadził na niej kulkę wystrzeloną z twojego pistoletu. Włożył nabój do piecyka w ten sposób, że kąt nachylenia był nastawiony według położenia głowy Wintera. Ten wszedł do pokoju, usiadł w fotelu, rozłożył karty. Pod wpływem ciepła nabój eksplodował i zabił Wintera.

— I dlatego nie było pistoletu w pokoju. Ale karty, jak stamtąd znikły?

— Maxey schował je na brzuchu, w zakamarkach swego tłuszczu. Chciałem schwycić Maxey'a z kartami, dlatego kazałem ci rozegrać tę scenę z jego żoną. Pragnął ją odzyskać ofiarowując jej pół miliona za sprzedane karty. Aby go złapać na gorącym uczynku — potrąciłem cię i wylałeś wodę na spodnie Maxey'a. W chusteczce ukryłem nadajnik tranzystorowy i włożyłem go do jego kieszeni. Po twojej ucieczce z Mercedes udał się do miasta, gdzie się spotkał z paserem. Ja i policjanci poszliśmy za nim i wszystko słyszeliśmy.

Mercedes spojrzała na mnie zdziwiona. — A ja myślałam, że masz te karty i dlatego z tobą uciekłam!

— Tod, powiedziałeś, że za nią szalejesz, prawda? A więc teraz możesz ją zatrzymać... Ach, przepraszam, muszę uciekać, czekają na mnie w cyrku. Za kilka minut i ja sprawię, że zniknie talia kart!...

OPRAC. A. S.

W jednym z najbliższych numerów:

Wielki Konkurs Wakacyjny

z cennymi nagrodami.

Lewym okiem

JONTOFOREZA

Margrabia brandenburski, Dedo, zapisany w historii naszego zachodniego pogranicza, bo ciągle to pogranicze hufcami swymi niepokoił, był człowiekiem wielkiej tuszy. Gdy już nie mógł się prawie poruszać, jakiś lekarz zobowiązał się chirurgicznie zdjąć wielmożnemu panu solidną warstwę tłuszczu. Margrabia poddał się operacji i oczywiście jej nie przeżył. Był to rok 1190.

Margrabia Dedo może by nie umarł, gdyby posłuchał dobrej rady hrabiny Elizy de Celuart, podanej przez nią w połowie XIX wieku w „Manualiku damskim, czyli sposobie odbywania paryskiej gotowalni".: „środek przeciw zbytniej otyłości jest, jeść gałki aromatyczne i spluwać często". Margrabia żył jednak za wcześnie.

Pewna młoda Francuzka pod Paryżem zmarła — teraz, przed kilkoma tygodniami — na gruźlicę, której w ogóle nie leczyła, bo i ona i jej rodzina uwierzyli jakiemuś „prorokowi", że jedyną radą na wszelkie nieszczęścia jest wyłącznie modlitwa. Francuzka może by nie zmarła, gdyby wiedziała to, co jej rodacy wiedzieli już w XI wieku: że boska potęga króla Francji pozwalała mu na leczenie dotknięciem rąk skrofułów, czyli rozpływnej gruźlicy węzłów chłonnych, zwanej także zołzami. Niestety, Francuzka żyła za późno.

Czterdzieści lat temu w miesięczniku „Swiat nadzmysłowy" pisał ktoś, podpisany „Prof. J. Prima", o „medycynie hermetycznej": „Taki np. dr Alex Heermann uleczył chorą, ociemniałą zupełnie i od szeregu lat już przez wszystkich okulistów opuszczoną. Leczenie trwało zaledwie cztery miesiące, zakończone listem dziękczynnym, własnoręcznie przez chorą do dr H. napisanym. Odbitka tego listu, pomieszczona w „Mittelungen fur Hochfrequenz" leży w tej chwili przede mną. Rzecz dla urzędowej wiedzy medycznej niepojęta — a więc cud. Nie cud, lecz Naprawa Zachwianej Równowagi Jonów w Atomach, stanowiących budowę źrenicy. I więcej niż. Czymżeż tę równowagę dr H. przywrócił? Przez doprowadzenie jonom kwasów potrzebnych za pomocą fal promieni przepuszczonych przez trzymany przed okiem owoc (trockene Jontophorese). Zabiegi trwały po 49 sekund w czterodniowych okresach. Więc nie tylko emanacje radu służą dziś medycynie. Emanuje każde ciało. Nawet emanacje kawałka drewna zdołały podobnych „cudów" dokonać".

Ten cytat jest autentyczny, wcale go nie zmyśliłem. Jest kapitalny przez swoje naukowe, profesorskie i doktorskie zadęcie, przez swój idiotyczny, ale operujący mądrymi terminami bełkot, przez obcojęzyczne wstawki, kwasy w jonach, przepuszczone przez owoc przy pomocy fal promieni, precyzję 49-sekundowych zabiegów, emanacje kawałka drewna.

„Głos Robotniczy" z 13 czerwca bież. roku opublikował artykuł o najnowszych osiągnięciach medycyny chińskiej, oparty na źródłach chińskich: „Każde uczucie bólu jest rezultatem naruszenia równowagi w organiźmie. Ból powoduje jednocześnie reakcje w określonym punkcie małżowiny usznej. Poprzez nakłuwanie takiego punktu można uregulować funkcje organizmu i wyleczyć chorobę".

„Pewnego dnia jeden z sanitariuszy spadł z roweru, czego następstwem była poważna choroba. Lekarstwa ani leczenie nie dawały rezultatów. Zastosowano nakłuwanie małżowin. Po trzech minutach ustał ból, a po dwóch dniach zniknęła opuchlizna".

Czterdziestoletnia Hao-Su-Pin przez wiele lat chorowała na gruźlicę jelit i w ogóle nie wstawała z łóżka. Jelita uleczono, kłując małżowinę uszną. Urzędnik kolejowy w Ban Buk uleczył swą jedenastoletnią neurastenię, kłując sobie uszy". To są cytaty, nie — zmyślenia.

Cytaty, od których dostaje się neurastenii i jontoforezy. Przestaje się wierzyć w rozsądek, w postęp i kulturę. Odmęty bzdury są niezmierzone, łatwość ogłupienia każdego bez wyjątku, każdego z nas też, nie łudźcie się — nieograniczona. Czy próby walki z oceanem mają jakiekolwiek szanse?

Czy nie lepiej łykać gałki aromatyczne, dotykać pomazańców bożych, kłuć sobie uszy ile wlezie i przepuszczać kwasy przez owoc celem Naprawy Zachwianej Równowagi Jonów w Atomach?

I często spluwać?

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17 Zam. 1366. H-10.